

Informator Polski

KOPENHAGA

Lato–Jesień '2016



Nr 2–3 (93–94) 2016

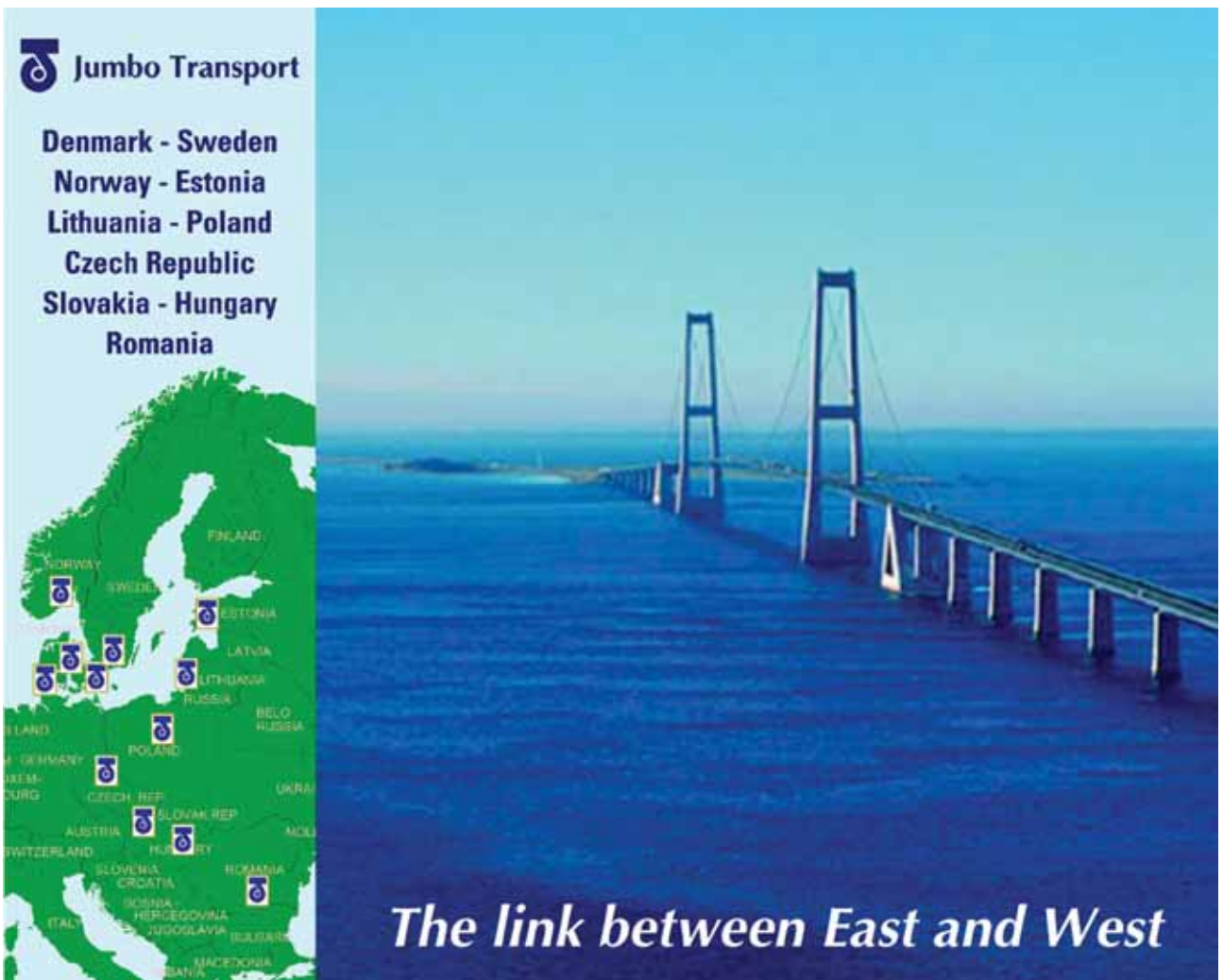
**KWARTALNIK
SPOŁECZNO-KULTURALNY FEDERACJI „POLONIA”**

ISSN 0908-2212

POLAND – DENMARK – POLAND

INTERNATIONAL TRANSPORTS

- Groupage departure Monday / Wednesday / Friday.
- Daily full load truck transports Poland – Denmark, vice versa.
- Door to door transport / Distribution services all over Poland.
- Warehousing in Warszawa.
- Scandinavian logistic solution / services.
- Project transport / special transport / over dimensional transports.



Jumbo Transport

Denmark - Sweden
Norway - Estonia
Lithuania - Poland
Czech Republic
Slovakia - Hungary
Romania

The link between East and West

For further information, please contact

Jumbo Transport Eastern Europe ApS.
Gammelager 1
DK-2605 Brøndby
Tel.: +45 36 86 88 41

jth@jumbotransport.dk
www.jumbotransport.dk

Jumbo Transport Poland Sp. z o.o.
ul. Traktorzystów 18
PL-02 495 Warszawa
Tel.: +48 22 478 27 25

pb@jumbotransport.pl
www.jumbotransport.pl



Na okładce: Prezydent Andrzej Duda z wizytą w Królestwie Danii w dniach 8-10 czerwca 2016 r.



Nagroda POLONICUS 2016 dla Czesława Mozila

INFORMATOR POLSKI Kwartalnik Społeczno-Kulturalny

Wydawca: Federacja „Polonia”
www.federacja-polonia.dk

Adres redakcji:
Albjergparken 1-1-1, 2660 Brøndby Strand
Tel.: + 45 35 39 33 30
E-mail: roman@smigielski.dk

Redaktor naczelny: Roman Śmigiełski
Kolegium redakcyjne: Torsten Elsvor
Wojciech Jagielski
Anna Kamińska
Maria Małaśnicka-Miedzianogóra

Dział kolportażu i ogłoszeń: Roman Śmigiełski

Redakcja techniczna, fotoskład i druk:

DOM WYDAWNICZY
ELIPSA Warszawa, ul. Inflancka 15/198
tel./fax +48 22 635 03 01

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych.
Anonimów nie publikujemy.
Zastrzegamy sobie prawo skrótów i adiestacji tekstów.
Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń.

Przedsięwzięcie jest współfinansowane przez Stowarzyszenie Wspólnota Polska ze środków otrzymanych od Kancelarii Senatu w ramach sprawowania opieki Senatu Rzeczypospolitej Polskiej nad Polonią i Polakami za granicą.



Cena: 25 koron



Rozmowa z ks. Jerzym Samcem, biskupem kościoła ewangelicko-augsburskiego w Polsce



*O podwójnej zależności muzyki duńskiej pisze
Eva Maria Jensen*

dziś w numerze

Od redakcji

Kościół ewangelicko-augsburski w Polsce

Leszek Wątróbski

Duńsko-polskie spotkania ekumeniczne

Żegnamy ks. Jana

De danske Røde Kors hospitaler i Polen

O. Norgaard

O duńskich szpitalach w Polsce

Lidia Szuster

Tyve-året for Kieślowski død

Personligt om Krzysztof Kieślowski

Juma Kruse

Podwójna zależność muzyki duńskiej

Eva Maria Jensen

Marszałkowska

Leopold Tyrmand

„Nciążłość Lehmann”

Duńska skrzypaczka Christine Pryn

Eva Maria Jensen

List króla duńskiego Fryderyka III do wojewody

Stefana Czarnieckiego

Prezydent Andrzej Duda z wizytą w Królestwie Danii

Roman Śmigielski

Nagrody POLONICUS 2016

Polonia ma do odegrania ogromną rolę

Aleksandra Jarecka

Laudacja na cześć Czesława Mozila

Roman Śmigielski

Lubię mieszanki – wywiad z Czesławem Mozilem

Agata Lewandowski

Drop den provinsielle paranoia over for polakker

Milos Lecic

Tre gange Polen

O. Norgaard

Den polske ørn kan ikke stækkes

Et punktum i historien om de polske roepolakker

Jan Czajkowski Jørgensen

Nie ma się na co cieszyć

Eva Maria Jensen

Same znaki zapytania – Lohengrin w Kopenhadze

Eva Maria Jensen

Wszystko na opak – premiera Salome Straussa w Kopenhadze

Eva Maria Jensen

Wiersz o Wojtku

Basia Budzyńska

Digt om bjørnen Wojtek

Bent Christensen

Nad brzegiem Morza Północnego

Jerzy Marciniak

Pożegnanie sępa

Piotr Marciniak

Dobra zmiana nad Tamizą?

Adam be

Przepadł z Krotosem

Kącik kulinarny

Piękno średniowiecznego miasta

Ewa Michałowska-Walkiewicz

Góra Krzyży

Od redakcji

Drodzy Czytelnicy!

W przyszłym roku przypada okrągła 500. rocznica reformacji. W związku z tym zamieszczamy wywiad z biskupem kościoła ewangelicko-augsburskiego w Polsce ks. Jerzym Samcem. Poza tym piszemy o duńsko-polskich spotkaniach ekumenicznych między przedstawicielami Duńskiego Narodowego Kościoła Luteranckiego, a polskimi katolikami z Danii i Polski. Żegnamy ks. Jana Zalewskiego, który – po prawie 20-letniej posłudze w Danii – wraca do Polski. Odnotowujemy wizytę prezydenta Andrzeja Dudy w Królestwie Danii. Piszemy o duńskich szpitalach w Polsce po I i II wojnie światowej. Wspominamy Krzysztofa Kieślowskiego i Leonarda Tyrmanda (zamieszczamy fragment „Złego” po duńsku). Eva Maria Jensen pisze m.in. o premierach operowych w Kopenhadze. Zamieszczamy list duńskiego króla Fryderyka III do wojewody Stefana Czarnieckiego oraz wywiad z Czesławem Mozilem, z okazji przyznania mu nagrody europejskiej Polonii POLONICUS. Z żalem informujemy o rozwiązaniu (w 90. rocznicę powstania) Związku Polaków w Maribo i o zamknięciu ostatniego Domu Polskiego na wyspie Lolland. Na deser zapraszamy na sernik z mango. Poza tym w niniejszym numerze znajdziecie Państwo ciekawe materiały naszych stałych autorów: Adama Bielniczego, Tadeusza Krotosa, Ewy Marii Jensen, Ewy Michałowskiej-Walkiewicz.

Uprzejmie informujemy o możliwości wykupienia rocznego abonamentu w cenie **160** koron duńskich. Pieniądze należy wpłacić na konto „Informatora Polskiego”:

Danske Bank, konto: 4310093637

z dopiskiem „Abonament IP”. Prosimy też nie zapomnieć o podaniu adresu, na który mamy wysłać „Informator”. Przyjmujemy duże i drobne ogłoszenia, także prywatne.

Kościół ewangelicko-augsburski w Polsce

Rozmowa z biskupem kościoła ks. Jerzym Samcem



Ks. biskup Jerzy Samiec

– **Jak i kiedy doszło do powstania Kościoła ewangelicko-augsburskiego?**

– Nazwa naszego Kościoła ewangelicko-augsburskiego dotyczy rzeczywistości polskiej. Po odzyskaniu niepodległości połączyły się Kościoły luterzańskie z dawnych zaborów tworząc Kościół ewangelicko-augsburski. Pamiętać przy tym warto, że zamiarem Lutra nie było wcale zakładanie nowego Kościoła. Przymiotnik zaś *augsburski* wziął się

stąd, że na sejmie w Augsburgu, w latach 1529–1530, przedstawiono wyznanie wiary. Później nazwano je wyznaniem augsburskim od nazwy miasta, w którym odbył się sejm.

Przyjmuje się, że reformacja zaczęła się wcześniej, od przybicia na drzwiach kościoła zamkowego w Wittenberdze 95 tez przez ks. dr. Marcina Lutra, potępiających handel odpustami uprawiany przez dominikanina J. Tetzela. Luter, będąc zakonnikiem, poszukiwał odpowiedzi na pytania dotyczące jego zbawienia. Wiedział, że swoim życiem nie jest sam w stanie zasłużyć na nie. Odkrył wówczas, w liście do Rzymian, istnienie łaskawego Boga, który z łaski daje zbawienie. Nic więc dziwnego, że wydarzenie to uważa się powszechnie za początek reformacji na zachodzie Europy.

– **Czy wtedy właśnie zaczęły powstawać nauki Lutra?**

– U podstaw odkrywania łaskawego Boga znalazły się trzy prawdy: 1) człowiek jest grzeszny i nie potrafi swoimi dobrymi uczynkami zasłużyć na zbawienie; 2) człowiek jest usprawiedliwiony przed Bogiem jedynie dzięki łasce przez wiarę i 3) każdy wierzący ma bezpośredni dostęp do Boga i nie potrzebuje żadnych pośredników.

Nie przypuszczał wtedy, wzywając do dysputy teologicznej, że jego tezy spotkają się z tak mocnym odbiorem społeczeństwa i jeszcze większą niechęcią Kościoła katolickiego. A odbiór też dr Lutra przez masy był bardzo spontaniczny. Przyczynił się do tego niewątpliwie wynalazek druku, który upowszechnił jego naukę. Biblia zaś przełożona przez Lutra na język niemiecki ośmieliła wielu reformatorów do przekładu jej na języki narodowe i swobodnego czerpania inspiracji twórczych z jej treści. Dla Lutra chrześcijaństwo było religią zbawienia, uwolnienia od grzechu, zbawczej łaski,

usprawiedliwiającej grzesznika w oczach Boga. Luter nie odrzuca społecznego charakteru christianizmu, nie zrywa z pojęciem instytucji Kościoła, pragnął jedynie, by Kościół poddał się jednemu autorytetowi – Biblii. Nie odrzucał ponadto sakramentalno-obrzędowego kultu, lecz pragnął go zreformować.

Potem już historia potoczyła się błyskawicznie. Doszło do spotkania i rozmów z legatem papieskim i słynnych dysput w Lipsku z dr Janem Eckiem dotyczących nauki o odpustach i władzy papieża, bulli i klątwy papieskiej, które spalono następnie przed bramami miasta Wittenberga.

– **W co wierzą wierni Waszego Kościoła?**

– Luteranizm wywodzi się z chrześcijaństwa zachodniego. Mamy więc ten sam kalendarz liturgiczny, taki sam jak Kościół rzymsko-katolicki. Oznacza to w praktyce, że mamy bardzo zbliżone do siebie wszystkie święta i tak naprawdę wiele się pomiędzy sobą nie różnimy. Także zakres głoszenia ewangelii jest zupełnie taki sam jak w Kościele rzymsko-katolickim. Od strony biblijnej jesteśmy bardzo blisko siebie. Różnice pojawiają się, kiedy wchodzimy w teologię, oraz kiedy w teologii zaczynają się pojawiać różne aspekty dotyczące tradycji. Dotyczy to np. nauki o wniebowzięciu Maryi Panny – w co my już nie wierzymy. Luteranie odrzucają tradycję jako źródło wiary.

Luteranie wskazują na 4 zasady reformacyjne, rozpoczynające się od słowa: *sola* lub *solum*. Są to *sola scriptura* – tylko Pismo Święte, *solus Chrystus* – tylko Chrystus, *sola gratia* – tylko łaska i *sola fide* – tylko wiara.

Jeśli zaś rozmawiamy o różnicach pomiędzy naszymi Kościołami, to w reformacji położono szczególnie mocny nacisk m.in. na powszechne kapłaństwo. Na to, że każdy jest powołany przez Chrystusa i dlatego zawód, który wykonuje, ma wykonywać tak, jakby czynił to dla Niego. Jeżeli ktoś jest szewcem, to ma robić najlepsze buty.

Takie podejście do pracy przełożyło się na tzw. etykę pracy zawodowej, na protestancki etos pracy. Praca nie jest przecież przekleństwem za grzech pierworodny, ale powołaniem i służbą. Praca w tym kontekście staje się czymś bardzo istotnym, nawet pewnego rodzaju modlitwą. Różnice w nauce społecznej czy etyce kościoła są czymś widocznym i wpływają z pochodnych nauk naszych Kościołów.

– **Jakie były początki Waszego Kościoła w Polsce?**

– Chodzi tu o wpływ haseł reformacyjnych (luteranickich i kalwińskich) na różne regiony obecnej Polski. Nasza polska reformacja była bardzo mocno związana



Centrum luterzańskie w Warszawie przy ul. Miodowej 21

Foto: Leszek Wątróbski

z wpływem Jana Kalwina nazywanego Arystotelesem Reformacji czy Drugim Patriarchą Reformacji. Polska reformacja była więc reformacją reformowaną, co nie oznacza, że nie było w Polsce ewangelików luteran. Wpływy luteranizmu były również duże. Były rejony Polski gdzie luteranie stanowili większość społeczeństwa. Taki stan rzeczy zachował się do dziś w rejonie Śląska Cieszyńskiego.

Śląsk Cieszyński to rejon typowo polski i ewangelicy byli tam zawsze utożsamiani z Polakami, choć rejon ten należał do katolickiej rodziny Habsburgów. A bycie tam Niemcem oznaczało bycie katolikiem. Bycie zaś Polakiem oznaczało bycie ewangelikiem. Na Śląsku Cieszyńskim polskość była mocno związana z ewangelicyzmem.

Zupełnie inaczej było w Królestwie Polskim, w zaborze rosyjskim. Tam luteranizm nabrał siły poprzez emigrację oraz poprzez napływ ludności niemieckiej – różnego rodzaju rzemieślników i kapitalistów, którzy rozwijali tu przemysł. Mam tu na myśli rejon łódzki i warszawski. Wielu z nich bardzo szybko się spolonizowało. Także księża, chociaż byli pochodzenia niemieckiego – np. ks. bp. Juliusz Bursche i jego rodzina uważali, że skoro tu mieszkają i głoszą ewangelię, to muszą robić to w języku narodu, w którym żyją. Stali się Polakami i walczyli o polskość.

Po I wojnie światowej ks. bp. Juliusz Bursche był działaczem społecznym i walczył o przyłączenie Mazur do Polski, a nie do Niemiec. Zginął zaś w czasie II wojny światowej w obozie koncentracyjnym w Oranienburgu. Także wielu innych naszych duchownych zginęło w obozach koncentracyjnych – łącznie około 20% naszych księży. Ci zaś, którzy uniknęli aresztowania dzięki wcześniejszym sygnałom musieli uciekać ze swoich domów i ukrywać się przez lata wojny pracując jako np. robotnicy, poza miejscowością, w której wcześniej prowadzili pracę duszpasterską.

– Jaka jest dzisiaj struktura Kościoła ewangelicko-augsburskiego w Polsce?

– Kościół nasz został zarejestrowany zaraz po I wojnie światowej, w okresie powstania II Rzeczypospolitej, poprzez połączenie się z innymi Kościołami ze Śląska Cieszyńskiego, Mazur, Poznania oraz Warszawy i powstał jeden Kościół ewangelicko-augsburski, który funkcjonuje po dziś dzień. Na terenie Polski było bowiem kilka Kościołów reformacyjnych. Wiele z nich miało problemy z uregulowaniem swoich stosunków z państwem. Polska przedwojenna była krajem mocno katolickim. Mówiło się wtedy, że Polak to katolik, ewangelik to Niemiec, a prawosławny to Rosjanin. Były to schematy bardzo uproszczone i krzywdzące dla części prawosławnych, którzy byli Polakami, czy dla wielu ewangelików, którzy również byli Polakami – a nie Niemcami, jak np. cały Śląsk Cieszyński.

Nasz status został uregulowany dekretem prezydenta RP w roku 1936. Natomiast inne Kościoły odmówiły podpisania i przyjęcia swego statusu, bardzo niekorzystnego i bardzo poniżającego zresztą. Proponowany im bowiem status nie był równy statusowi Kościoła rzymsko-katolickiego, który mocno deprecjonował Kościoły ewangelickie.

Przez posiadanie uregulowanego stosunku do Państwa staliśmy się, zaraz po II wojnie światowej, Kościołem automatycznie zarejestrowanym. I na tej bazie działaliśmy w Polsce do roku 1994. Dzięki temu staliśmy się spadkobiercami całego Kościoła ewangelickiego, wszystkich Kościołów unijnych, które nie miały uregulowanego stosunku państwo-kościół.

Mamy obecnie 6 diecezji i 133 parafie oraz 124 parafie filialne, co oznacza, że nie ma tam księdza na stałe. Mamy ponad 70 tys. wiernych. Na czele każdej parafii jest rada parafialna, wybierana przez zgromadzenie parafialne i jest proboszcz z wyboru, na kadencję 10-letnią. Rada parafialna jest odpowiedzialna za zarządzanie parafią. Zgromadzenie parafialne musi spotykać się przynajmniej raz w roku. Jest to Zgromadzenie sprawozdawcze. Zdaje więc sprawozdanie z życia swojej parafii i przedkłada sprawozdanie finansowe oraz preliminarz na każdy następny rok. Zgromadzenie parafialne planuje też, co będzie się działo w parafii w kolejnym roku, ile to będzie kosztowało, i skąd wezmą na to odpowiednie środki.

Każda parafia jest reprezentowana w synodzie diecezjalnym. Są w nim też wszyscy diecezjalni duchowni pracujący na terenie diecezji plus z każdej parafii według klucza, w zależności od jej liczebności, pewna liczba świeckich. Synod diecezjalny wybiera ze swego grona radę diecezjalną oraz biskupa diecezjalnego. Biskup jest wybierany na 10 lat. Natomiast wszystkie władze kolegialne – takie jak: rada parafialna, rada diecezjalna, konsystorz, rada synodalna wybierane są na 5 lat.

Biskup diecezjalny stoi na czele rady diecezjalnej. Pomaga mu jeden duchowny – radca diecezjalny, wybierany na 5 lat i dwóch świeckich: świecki kurator diecezjalny i świecki radca diecezjalny. Oni zarządzają synodem diecezjalnym i diecezją.

Nad tym wszystkim jest Synod Kościoła składający się z 15 duchownych wybranych podczas ogólnopolskiej konferencji księży z grona ok. 160 naszych duchownych. Z urzędu w skład synodu wchodzi też: biskup kościoła plus biskupi diecezjalni oraz 30 świeckich według klucza wielkości diecezji. Do Synodu należy też kilku przedstawicieli różnych środowisk kościelnych. Synod Kościoła liczy w sumie 67 osób.

Zwierzchnika naszego Kościoła w Polsce nazywa się biskupem kościoła. Synod wybiera biskupa kościoła na 10 lat. Oznacza to w praktyce, że biskupa kościoła wybiera co drugi synod, którego kadencja trwa 5 lat. Synod wybiera też radę synodalną – tak jakby prezydium, które kieruje jego pracami pomiędzy posiedzeniami plenarnymi. Synod wybiera konsystorz kościoła, na czele którego stoi z urzędu – jako prezes biskup kościoła, i wiceprezesa, który jest osobą świecką oraz po 3 członków: radców świeckich i radców duchownych. Łącznie konsystorz liczy 8 członków i spełnia funkcję administracyjną, czyli zarządzającą Kościołem.

– Jak wygląda apostołat i duszpasterstwo w Waszym Kościele?

– Nasza struktura jest zbudowana tak, że każdy wierny należy do którejś z parafii. Nasze parafie są podporządkowane terytorialnie, czyli jeśli ktoś mieszka na terenie jakiegoś miasta, to należy do parafii, która obejmuje tę miejscowość swoim zasięgiem. Oznacza to w praktyce, że każdy nasz wierny należy do parafii, która obejmuje teren, na którym mieszka. O ewentualnych wyjątkach decyduje zawsze rada parafialna. W Warszawie mamy np. 2 parafie. Tu wierni mogą wybierać pomiędzy parafiami. Aby wstąpić do naszego Kościoła trzeba przejść okres próbny. Zwracamy przy tym baczność uwagę, aby nasi nowi wierni nie podejmowali decyzji o zmianie wyznania np. ze względu na obrażenie się na Kościół rzymsko-katolicki czy ze względu na jakiegoś proboszcza. Chcemy, aby powód zmiany wyznania był głębszy – np. doktrynalny. Chcemy, aby zmiana wyznania dokonywała się zgodnie z jego przekonaniem. W tym też czasie

zapraszamy go do brania udziału w naszych nabożeństwach i w życiu parafialnym. Potem zaczyna się dla niego kurs przygotowawczy, który trwa rok, zanim nastąpi sama konwersja. Chcemy, aby osoba, która do nas wstępuje знаła nasze zasady i przeszła próbę czasu, przekonując się, że jej decyzja, to nie chwilowa fascynacja, ale przemyślana dogłębnie sprawa. Jest to taki okres, w którym przyszły

konwertyta może brać udział we wszystkim, co dzieje się w parafii, nie będąc jednak jej pełnym członkiem i nie mając jeszcze żadnych praw wyborczych

Prowadzimy też duszpasterstwa środowiskowe, wojskowe, więzienne, a nawet szpitalne, we wszystkich miejscowościach, w których jest więcej ewangelików. Wewnątrz Kościoła mamy duszpasterstwo młodzieżowe, ewangelizacyjno-misyjne prowadzone na poziomie diecezjalnym i ogólnokościelnym. Wychodzimy wreszcie na zewnątrz, próbując pokazać nasz Kościół medialnie innym. Mamy ponadto Centrum Misji i Ewangelizacji, które koordynuje szeroko pojętą pracę ewangelizacyjną. Jest w to zaangażowanych wielu naszych teologów i duchownych. W ramach naszego Centrum prowadzimy odpowiednie kursy i superwizje dla ludzi duchownych i świeckich, którzy uczą się duszpasterstwa. Prowadzimy też kursy konstruktywnego rozwiązywania konfliktów. Ważnym elementem służby Kościoła jest Diakonia, która koordynuje pracę charytatywną. Wiele naszych parafii prowadzi domy opieki dla osób starszych, wypożyczalnie sprzętu rehabilitacyjnego, środowiskowe domy samopomocy. Diakonia koordynuje również zbiórki pieniędzy dla osób potrzebujących i dotkniętych katastrofami.

– Jaka jest rola duchownych w Kościele?

– Mamy urząd duchownego w trzech posługach – tj. posługa diakona, prezbitera i biskupa. Do tej pierwszej posługi diakonów mogą być ordynowane również panie. Później na prezbitera i biskupa już tylko mężczyźni. Pod tym względem należymy do mniejszości luterkańskiej na świecie. Większość bowiem Kościołów luterkańskich ordynuje kobiety do wszystkich pozostałych posług – czyli do posługi prezbitera i biskupa. My też prowadzimy dyskusję na temat ordynacji kobiet. Jesteśmy w trakcie długofalowego przygotowania do podjęcia odpowiedniej decyzji przez nasz Synod. Musi dojść do głosowania. Taki wniosek jest już przygotowany i zostanie wniesiony pod obrady Synodu na wiosnę 2016 roku, a więc już niedługo. Mieliśmy niedawno konferencję teologiczną poświęconą ordynacji kobiet. Zebraliśmy też doświadczenia Kościołów partnerskich z Europy, jakie z tą decyzją wiązały się zalety, a jakie wady i problemy. I w jaki sposób sobie z nimi radzono i je rozwiązywano.

Jesienią roku 2015 złożyłem – jako biskup kościoła – wniosek na Synodzie o zmianę przepisów prawa, tak aby umożliwić ordynację kobiet. We wniosku tym była jednocześnie prośba, aby był on głosowany wiosną 2016 roku. Pierwsza ordynacja, jeśli wniosek zostanie zaakceptowany, mogłaby odbyć się dopiero w roku 2018, tak aby się do niej dobrze przygotować.

Kobiety są bardzo ważne w życiu naszego Kościoła. Są jego równoprawnymi członkami. Mogą być w radach parafialnych i w radach diecezjalnych, konsystorzu, radzie synodalnej czy wreszcie w Synodzie Kościoła. Są wybierane na wszystkie stanowiska. Diakonat jest



Ewangelicki kościół Św. Trójcy w Warszawie

Foto: Leszek Wątróbski

w naszym Kościele odpowiednikiem zakonu. Mamy diakonat żeński w Dziegielowie, gdzie panie żyją w celibacie i zajmują się opieką nad osobami starszymi. Niestety, jest ich coraz mniej.

Mamy jeden urząd duchownego. Księża (prezbiterzy) mogą być potem wybrani na biskupa diecezjalnego, ale dopiero 10 lat po ordynacji i muszą co najmniej 5 lat sprawować samodzielne stanowisko np. być proboszczem. Aby zostać biskupem kościoła, konieczne jest przepracowanie 15 lat po ordynacji i 10 lat pracy na samodzielnym stanowisku.

– Wasz Kościół jest członkiem wielu organizacji międzynarodowych. Jakich?

– Najważniejsze z nich to: Światowa Rada Kościołów, Światowa Federacja Luterska, której jesteśmy współzałożycielami, Konferencja Kościołów Europejskich oraz Wspólnota Kościołów Ewangelickich w Europie. W Polsce jesteśmy członkiem Polskiej Rady Ekuumenicznej (PRE), którą współtworzyliśmy. Pełnię w niej funkcję wiceprezesa.

Do PRE należy dziś 7 kościołów: Polski Autokefaliczny Kościół Prawosławny, Starokatolicki Kościół Mariawitów, Kościół Polskokatolicki, Kościół Ewangelicko-Augsburski, Kościół Ewangelicko-Reformowany, Kościół Ewangelicko-Methodystyczny, Kościół Chrześcijan Baptystów i jako członek stowarzyszony Towarzystwo Biblijne.

– A jak wygląda w Polsce dialog ewangelicko-katolicki?

– Muszę go ocenić jako bardzo poprawny. Nie było za mojej 5-letniej kadencji żadnych zatargów. Wszystko jednak zależy od punktu spojrzenia i tematu, którym się zajmujemy.

Problemy jeśli są, to są rozwiązywane na bieżąco. Mamy oczywiście różne spojrzenia na różne tematy, ale powtarzam raz jeszcze: nie ma pomiędzy naszymi stronami żadnych zatargów. Zdarzają się wprawdzie jakieś nieekumeniczne zachowania, po obu niestety stronach, ale zachowania naszej strony są mniej spektakularne i mniej nagłaśniane – może ze względu na naszą wielkość. Jesteśmy przecież Kościołem zdecydowanie mniejszym od Kościoła rzymsko-katolickiego. Jeżeli zdarza się, że jakiś ksiądz, profesor teologii, zaczyna głosić jakieś bzdury w sprawie Marcina Lutra i nagłaśnia je w Radio Maryja, to jego siła rażenia jest zdecydowanie większa niż gdyby zdarzył się jakiś ewangelik, który bzdury wypowiadałby na temat papieża na jakiejś stronie internetowej.

Ostatnio właśnie jeden z profesorów Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego cofnął się do XVII wieku, kiedy to dialog ekumeniczny polegał na tym, że jedni drugim przypisywali wszystkie możliwe najciemniejsze strony. Natomiast dialog ekumeniczny rozwinął się i poszedł szybko do przodu. Dziś nikt już w Watykanie nie stawia Lutrowi i jego nauce tez nieprawdziwych. W Polsce jest jednak inaczej. Nie podam nazwiska tego



profesora z KUL, o którym wcześniej wspominałem. Jego wypowiedziami czują się nawet zażenowani nasi teologiczni partnerzy z Kościoła rzymsko-katolickiego i nie wiedzą, jak mają na te bzdury zareagować. Radio, o którym wspominałem, krytykuje też papieża Franciszka. Marcin Luter jest więc w naprawdę dobrym towarzystwie.

– Czy różnice w dialogu dotyczą spraw dogmatycznych czy społecznych?

– Większość istotnych sporów dogmatycznych zostało przezwyciężonych. Jako przykład podam tu dokument o usprawiedliwieniu, który został przez obie strony podpisany. Zwrócono w nim uwagę na te rzeczy, które są obecnie tak samo rozumiane, choć może inaczej definiowane czy nazywane. Podpisaliśmy też dokument o wzajemnym uznawaniu chrztu w Polsce. Uważamy to za duży krok do przodu. Nie ma więc potrzeby, aby przy zmianie wyznania, chrzcić raz jeszcze. Dziś wystarczy nam tylko metryka.

Są też jednak liczne różnice dogmatyczne. Gdyby ich nie było, to moglibyśmy się zjednoczyć. Do różnic należy np. inne pojmowanie komunii czy wynikający z tego brak interkomunii. Zdecydowanie większy opór w tej kwestii istnieje ze strony Kościoła rzymsko-katolickiego. Opór ten pochodzi od zupełnie innego rozumienia tego sakramentu. W Kościele rzymsko-katolickim komunია jest rozumiana, za każdym razem, jako ponowna ofiara Chrystusa. My uważamy, że ofiara została dokonana raz na krzyżu, aczkolwiek wierzymy, że pod postacią

prawdziwego chleba i prawdziwego wina, spożywamy prawdziwe ciało i prawdziwą krew. Jesteśmy więc w tej kwestii bardzo bliscy sobie.

Wspólnotę ambony i ołtarza mamy tylko z Kościołami ewangelickimi: ewangelicko-reformowanym i ewangelicko-metodystycznym. Oznacza to, że wzajemnie możemy przystępować do komunii i zastępować się w prowadzeniu nabożeństwa.

Różnią nas także sprawy społeczne. Nauka Kościoła jest u nas bardziej otwarta. Kościół nasz dopuszcza np. metodę *in vitro*. Stwierdziliśmy, uchwałą Synodu, że metoda ta jest dopuszczalna. Niedopuszczalne jest natomiast mrożenie zarodków. Jest to pewna niekonsekwencja, ale uważamy, że zrobić trzeba wszystko, aby zarodki nie były przechowywane długo, i aby nie było na nich żadnych eksperymentów.

– Skąd pochodzą fundusze Kościoła?

– Jesteśmy Kościołem, który utrzymuje się ze swoich własnych funduszy, pochodzących głównie od naszych wiernych. Mamy obowiązek przekazywania 1% swoich dochodów na rzecz parafii, do której należymy. Mamy też trochę nieruchomości, które wynajmujemy. Są wreszcie cmentarze, na których pobieramy opłatę za miejsce. Każda parafia ma następnie obowiązek wpłacania, według schematu, pewnej sumy na rzecz diecezji i na rzecz Kościoła. Budżet Kościoła uchwała Synod, który pomaga finansowo małym parafiom – tym, które same nie mogą się utrzymać.

– O sobie samym...

– Niełatwo jest mówić o samym sobie, ale spróbuję...

Biskupem kościoła zostałem w roku 2010. W podobnym wieku naszym biskupem został ks. Janusz Narzyński. Studia ukończyłem w 1988 roku. Zostałem ordynowany w styczniu 1989. Pracowałem najpierw w Zabrze i Gliwicach. W Gliwicach, jako proboszcz, pracowałem do 6 stycznia 2010 roku, kiedy to objąłem funkcję bisku-



pa kościoła. W międzyczasie byłem też diecezjalnym duszpasterzem młodzieżowym a później duszpasterzem ewangelizacyjno-misyjnym, też w diecezji katowickiej. Byłem ponadto prezesem Stowarzyszenia Księża Katechetów, a od roku 1998 jestem członkiem Synodu Kościoła. Współpracowałem z Centrum Misji Ewangelizacji i od początku należę do jej rady. Po wyborze na biskupa kościoła jestem członkiem rady diakonii z urzędu.

– Dziękuję za rozmowę. Myślę, że przyczyni się ona do lepszego poznania Waszego Kościoła.

Leszek Wątróbski



Duńsko-polskie spotkania ekumeniczne

Ks. Jan Zalewski, katolicki proboszcz w małym duńskim miasteczku Haderslev, nigdy się chyba nie spodziewał, że przez Opatrzność zostanie zaproszony do ekumenicznych spotkań na skalę międzynarodową.

Jego pierwsze spotkanie z Nielsem Henrykiem Arendtem, nowo wybranym biskupem Duńskiego Narodowego Kościoła Luterńskiego w diecezji Haderslev, miało miejsce 26 kwietnia 1999 r. Ks. Jan został wtedy zaproszony do katedry w Haderslev na ordynację biskupią z udziałem królowej Małgorzaty II na sobotę 15 maja 1999 r. oraz (wśród 100 gości) na obiad do restauracji *Harmonien*.

Pierwsze nabożeństwo ekumeniczne odbyło się w katolickim kościele Sct. Marie Kirke w Haderslev 17 maja 1999 r. z udziałem nowego biskupa Nielsa Henryka Arendta oraz duchownych i przewodniczących rad parafialnych Diecezji Haderslev.

Ważnym akcentem ekumenicznym i międzynarodowym było spotkanie 6 kwietnia 2000 r. w katedrze Haderslev biskupa Stanisława Stefanka z biskupem Nielsem Henrikem Arendtem.

24 października 2004 r. odbyło się spotkanie księży katolickich w Danii w kościele pod wezwaniem św. Miko-

łaja w Aabenraa z pastorem Jørgenem Jørgensenem i biskupem Arendtem. Następne, podobne spotkanie, odbyło się w katedrze w Haderslev 23 stycznia 2006 r. Ks. Jan Zalewski był także zaproszony do komitetu organizacyjnego Duńskich Dni Kościoła w Haderslev 15 września 2005 r. Główne uroczystości były zaplanowane w dniach 17–20 maja 2007 r. w Haderslev. Spotkali się chrześcijanie różnych wyznań, aby budować „Kościół ponad granicami”. W ramach tych ekumenicznych dni wspólnie modlono się, śpiewano, podejmowano ważne rozmowy dotyczące wiary i działań charytatywnych różnych wspólnot chrześcijańskich. Zaproszono też siostry urszulanki, aby opowiedziały o św. Urszuli Ledóchowskiej, dla której w latach 1917–1920 Dania była przystanią i domem. Siostra Danuta Sakowicz wygłosiła wykład o działalności Świętej w Skandynawii, a szczególnie w Danii, zatytułowany: *Niełatwo myśleć zawsze o innych, ale to właśnie zapewni pokój. Święta Urszula Ledóchowska – Polka – Europejka – imigrantka*. Siostry przygotowały też specjalną wystawę w języku duńskim, by zaprezentować pracę, jaką św. Urszula podjęła w Skandynawii, zarówno na rzecz tamtejszych katolików, jak i Polaków, tęskniących za wolną Polską. Wystawa była eksponowana w Sct. Marie Kirke. Proboszcz ksiądz Jan Zalewski jest od wielu lat protektorem osoby św. Urszuli na terenie Danii. Obecnie wystawa znajduje się w Muzeum Izba Polska w Tågerup. W niedzielę 20 maja o godz. 10.00 w hali sportowej Haderslev odbyło się nabożeństwo, podczas którego modlili się chrześcijanie różnych wyznań.

Upamiętnienie 350. rocznicy forsowania cieśniny Allsund i zdobycia Sønderborga było kolejnym etapem aktywności ekumenicznej ks. Zalewskiego. Najpierw, 20 maja 2008 r. podczas rajdu motocyklowego, odbyło się spotkanie z biskupem Arendtem w katedrze w Haderslev. Później, 14 grudnia 2008 r., odbyła się

główna uroczystość na zamku Sønderborg. Należy podkreślić, że rano 14 grudnia odbyło się także nabożeństwo ekumeniczne w królewskiej kaplicy królowej Doroty na zamku w Sønderborgu. Nabożeństwu przewodniczył biskup luterański Niels Henrik Arendt. Uczestniczyli również: katolicki biskup kopenhaski Czesław Kozon, arcybiskup Szczepan Wesoły oraz duchowni protestancy i katolicy, jak też zaproszeni goście z Polski i Danii. Warto przywołać fragment jednej z modlitw za Danię wypowiedzianej przez biskupa Arendta: *Boże, dziękujemy Ci za nasz kraj, dlatego że mogliśmy się tu i w innych miejscach zgromadzić w wolności. I dziękujemy w tym dniu za to, że przez pomoc polskich przyjaciół zachowałeś nas jako naród i państwo* (Vi takker dig for vort land, fordi vi kan samles her og andre steder i frihed. Og vi takker på denne dag, fordi du ved polske venners hjælp bevarede os som folk og som land).

Lokalnym wydarzeniem ekumenicznym był również jubileusz 100-lecia kościoła Sct. Marie Kirke w Haderslev 12 października 2009 r. W uroczystości wzięli udział także miejscowi duchowni luterańscy Kirsten Münster i Kim Eriksen.

4 września 2011 r. w katedrze w Roskilde odbyło się ekumeniczne nabożeństwo upamiętniające 1025 lat śmierci na wyspie Wolin króla duńskiego Haralda Sinozębego, który wprowadził Danię do rodziny krajów chrześcijańskich i został pochowany w Roskilde. W nabożeństwie wzięli udział arcybiskup metropolita szczecińsko-kamieński Andrzej Dzięga. Uroczyste obchody ku czci króla Haralda Sinozębego rozpoczęły się przy Muzeum Wikingów, gdzie kustosz muzeum Anton Englert wprowadził szeroką rzeszę zgromadzonych w kontekst historyczny i geograficzny obchodów. W czasie spaceru przez miasto do katedry kustosz Frank Birkebæk z Muzeum Miejskiego w Roskilde oraz profesor Niels Lund z Uniwersytetu

Kopenhaskiego mówili o historii miasta i króla Haralda. W katedrze w Roskilde o godz. 14:00 procesją, w której uczestniczyli duchowni i ambasador RP w Danii Rafał Wiśniewski, rozpoczęło się duńsko-polskie nabożeństwo.

Słowo wstępne o Haraldzie Sinozębym i jego związkach z Roskilde wygłosili: po polsku – pastor emeritus Bent Christensen z protestanckiej diecezji Lolland-Falster, a po duńsku proboszcz katedry w Roskilde pastor Maria Harms. Kazanie Marii Harms tłumaczył na polski katolicki biskup Danii Czesław Kozon, urodzony w Danii na wyspie Falster. Następnie zabrało głos trzech uczestniczących w nabożeństwie biskupów.



4 września 2011 r. przed katedrą w Roskilde (od lewej): biskup Peter Fischer-Møller, arcybiskup Andrzej Dzięga, biskup Czesław Kozon, pastor emeritus Bent Christensen

Arcybiskup metropolita szczecińsko-kamieński Andrzej Dzięga podkreślił podobieństwa między Haraldem Sinozębym a Mieszkiem I. Harald przyjął chrzest pomiędzy rokiem 953–965 a Mieszko w 966. Chrzest każdego z nich miał olbrzymie znaczenie dla historii obu krajów. Arcybiskup zaznaczył zależność między tym, co się stało, a tym, co dzieje się w każdym pokoleniu, tym, co przetrwało przez tysiąc lat, i tym, co ostoja się za następne tysiąc lat.

Haralda i Mieszka wspomnieli też katolicki biskup Danii Czesław Kozioł. Przypomnieli jak operatywni byli ludzie średniowiecza, dzięki czemu Harald Sinozęba, będąc królem Danii i Norwegii, jednocześnie posiadał swą bazę na Wolinie (gdzie prawdopodobnie znajdowała się twierdza *Jomsborg*). Stwierdził też, że Polska i Dania w dalszym ciągu graniczą ze sobą poprzez Bałtyk, a jego biskupstwo sąsiaduje z metropolią arcybiskupa Dzięgi.

Biskup protestanckiej diecezji w Roskilde Peter Fischer-Møller przyznał, że są różne opinie, gdzie Harald Sinozęba w rzeczywistości jest pochowany, ale nie należy z tego powodu tracić okazji, aby wspólnie obchodzić uroczystości. Przypomniał, że 6 czerwca 1989 r. katedra w Roskilde gościła polskiego papieża Jana Pawła II. Z okazji papieskiej wizyty przed katedrą zasadzono dąb. Drzewo ze swymi gałęziami może m.in. symbolizować kościół.

Po wygłoszonej po duńsku i po polsku modlitwie „Ojciec Nasz” odśpiewano w obu językach psalm „Nærmere, Gud til Dig” („Być bliżej Ciebie chcę, o Boże mój”). W nabożeństwie uczestniczyli także m.in. pastor z katedry w Roskilde Jens Arendt, proboszcz katolickiego kościoła św. Wawrzyńca w Roskilde Alren Soosaipillai, pomysłodawca uroczystych obchodów ku czci Harald Sinozębego proboszcz katolicki kościoła św. Marii w Haderslev Jan Zalewski oraz honorowy przewodniczący Federacji „Polonia” Roman Śmigielski.

4.10.2012 r. duńska delegacja kościelna przybyła do Wolina. Po spotkaniu w Urzędzie Miasta z burmistrzem miasta Eugeniuszem Jasiewiczem i władzami gminy goście zwiedzili Muzeum Regionalne im. Andrzeja Kąbego, oprowadzani przez dyrektora muzeum Ryszarda Banaszkiewicza.

W spotkaniu udział wzięli ze strony Królestwa Danii luteranie: biskup luterancko-ewangelickiej diecezji w Roskilde Peter Fischer-Møller, Niels Henrik Arend biskup luterancko-ewangelickiej diecezji Haderslev, Maria Harms pastor parafii w Roskilde; katolicy: ks.



4 października 2012: Polsko-duńskie spotkanie ekumeniczne w byłym klasztorze w Kolbaczu, założonym przez duńskich Cystersów w XII wieku

prałat Lars Messerschmidt Wikariusz Generalny diecezji kopenhaskiej, ks. Jan Zalewski proboszcz katolicki kościoła św. Marii w Haderslev; natomiast ze strony polskiej: metropolita szczecińsko-kamieński ks. arcybiskup Andrzej Dzięga – inicjator uroczystości w Wolinie, ks. prałat Jan Uberman proboszcz parafii p.w. św. Mikołaja Biskupa w Wolinie oraz członkowie Wolińskiej Kapituły Kolegiackiej.

W drodze do kolegiaty św. Mikołaja wszyscy uczestnicy zatrzymali się na modlitwie przy kamieniu upamiętniającym śmierć króla duńskiego Harald Sinozębego 1 listopada 987 r. Po słowie ks. arcybiskupa metropolity zgromadzeni wspólnie odmówili „Ojciec nasz” w języku łacińskim.

Podczas mszy świętej, z udziałem kanoników kapituły Wolińskiej, modlono się o zjednoczenie chrześcijan. W uroczystej modlitwie uczestniczyli zaproszeni goście, harcerze i wolinianie. Teksty odczytanych czytań mszalnych, homilii jak i pozdrowień zostały przekazane w języku polskim i duńskim. W homilii metropolita szczecińsko-kamieński wskazał na dokonania Harald Sinozębego dla Danii, podobnie do dokonań Mieszka I dla Polski. Obaj wprowadzili do rządzonych przez siebie krajów chrześcijaństwo. Przez te decyzje ukształtowali swoje kraje na całe tysiąclecie. Ksiądz arcybiskup przypomniał także Matkę Królów Sygrydę-Storrådę, zwaną też Świętosławą i Gunhildą, córkę Mieszka I i Dobrawy, żonę króla Danii i Norwegii Swena Widłobrodego. Serdecznym zakończeniem Eucharystii był wspólny śpiew pieśni „Abyśmy byli jedno”, połączony z gestem splecionych rąk.

Od 23 do 25 sierpnia 2013 r. odbyły się w Chojnie doroczne Dni Integracji. Szczególnym ich punktem była konferencja „Ekologia ducha” z udziałem duńskich i polskich duchownych na czele z abp. Andrzejem Dzię-

gą oraz bp. Peterem Fischer-Møllerem. Ekologia i religia raczej nie szły dotąd w parze, gdyż w naszej tradycji zbyt jednostronnie przywiązani jesteśmy do wskazania z Księgi Rodzaju: *Czyńcie sobie ziemię poddaną*. Obecnie częściej potrafimy dostrzegać związek harmonii środowiska naturalnego z harmonią ludzkiego ducha. Częściej też mówi się o grzechu ekologicznym.

Pochodzący z Gryfina, a mieszkający od lat w Danii, ks. Jan Zalewski już w latach 90. próbował w swej ówczesnej parafii w Wiselce na Wolinie krzewić ideę zielonego Kościoła, choć wtedy jeszcze tego tak nie nazywano. Przywołał Jana Pawła II, który w encyklice „*Centesimus annus*” napisał: *U korzeni bezmyślnego niszczenia środowiska naturalnego leży błąd antropologiczny, niestety, rozpowszechniony w naszych czasach. Człowiek mniema, że może samowolnie rozporządzać ziemią, podporządkowując ją bezwzględnie własnej woli, tak jakby nie miała ona własnego kształtu i wcześniejszego, wyznaczonego jej przez Boga, przeznaczenia, które człowiek, owszem, może rozwijać, lecz któremu nie może się sprzeniewierzać.*

Na chojeńskiej konferencji swymi eko-duchowymi doświadczeniami dzielił się bp Peter Fischer-Møller

z duńskiego Roskilde. Na koniec zaproponował, by włączyć kilka parafii z archidiecezji szczecińsko-kamieńskiej do międzynarodowego programu „Zielony Kościół”.

Ks. Jan Zalewski pomagał także w organizacji rekolekcji kapłańskich w Magleås Kursuscenter. Grupa 29 księży z archidiecezji szczecińsko-kamieńskiej wraz z księdzem arcybiskupem Andrzejem Dziegą, metropolitą szczecińsko-kamieńskim uczestniczyła w ekumenicznym spotkaniu w luteranckiej katedrze w Roskilde, odbywającym się 29 października 2015 r. W spotkaniu i wspólnej modlitwie ze strony luteranckiej uczestniczyli biskup Peter Fischer-Møller, dziekan Jens Arendt i pastor Maria Harms. Na zakończenie wspólnej modlitwy w katedrze w Roskilde głos zabrał ksiądz arcybiskup Andrzej Dziega.

Podczas spotkania wspomniano konferencję ekologiczną „Ekologia Ducha” i „Zielony Kościół” (w Chojnie w 2013 r.), która jakby uprzedziła encyklikę papieża Franciszka „*Laudato Si*”.

Następne spotkania ekumeniczne są planowane na 24 czerwca 2017 r. w Wolinie i Kamieniu Pomorskim.

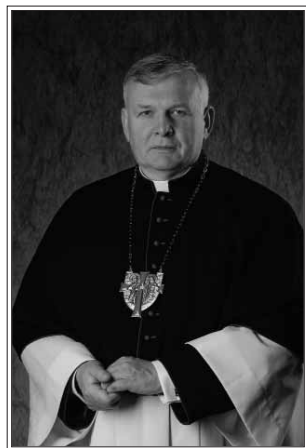
IP



Zegnamy księdza Jana

Jan Zalewski (ur. 3 grudnia 1961 r. w Gryfinie) – ksiądz rzymskokatolicki.

Uczęszczał do Liceum Ogólnokształcącego im. Aleksandra Omieczńskiego w Gryfinie, maturę zdał w roku 1980 i rozpoczął naukę w Wyższym Seminarium Duchownym w Gościkowie-Paradyżu (1980–1982) oraz w Szczecinie (1982–1985). Przyjął święcenia kapłańskie z rąk ks. bpa Kazimierza Majdańskiego 15 grudnia 1985 w Szczecinie.



Ks. Jan Zalewski

Odbył studia specjalistyczne w Instytucie Studiów nad Rodziną ATK (1986–1988). Wykładał teologię małżeństwa i rodziny w Wyższym Seminarium Duchownym w Szczecinie (1988–1989). Pełnił funkcję dyrektora diecezjalnego Domu Rekolekcyjnego w Szczecinie (1990–1992).

W latach 1992–1997 był proboszczem w Wiselce na wyspie Wolin. Budowniczy kościoła i ośrodka rodzin oraz organizator centrum ekologiczno-rekolekcyjnego „Przymierze”. Wykładowca Ludowego Uniwersytetu w Wolinie (1994–1995).

Od 3 lutego 1997 pomaga Kościołowi katolickiemu w Danii. Proboszcz w Sønderborgu (1998, 2001–2002), Tønder (1998–2001), Aabenraa (1998, 2001–2005) i Haderslev (1998–2016). Członek rady kapłańskiej diecezji kopenhaskiej (2003–2007). Duszpasterz polski w Odense i Esbjerg.

Mianowany 22.11.2014 r. przez ks. abpa Andrzeja Dziegę kanonikiem gremialnym konkatedralnej kapituły w Kamieniu Pomorskim. 16.12.2014 r. odznaczony przez prezydenta RP Bronisława Komorowskiego Złotym Krzyżem Zasługi za zasługi w krzewieniu wiedzy o polskiej kulturze i historii wśród młodzieży szkolnej, za rozwijanie ekumenicznej współpracy między Kościołem katolickim i protestanckim.

31 lipca 2016 r. zakończył posługę kapłańską w Diecezji Kopenhaskiej i wrócił do Archidiecezji Szczecińsko-Kamieńskiej.

DE DANSKE RØDE KORS HOSPITALER I POLEN EFTER 1. OG 2. VERDENSKRIG

Det blev i Danmark besluttet at sende et felthospital betjent af Røde Kors personale til Polen efter 1. verdenskrig. En del polske soldater ventedes hjem fra krigsfangenskab i Rusland og dels var nogle af dem syge, dels frygtede man, at de bar smitte med sig. Det danske hospital bar navnet "Dannebrog" og det skulle aflaste de polske hospitalsmyndigheder.

"Dannebrog" er navnet på det danske flag, der stammer fra 1219. Et sådant mobilt hospital kaldes også ambulance – så betegnelsen var officielt "*Ambulancen Dannebrog*". Den omfattede 3 læger, 8 sygeplejersker og en forvalter. Derudover kom 4-5 sygeplejersker fra det polske Røde Kors og fra en nærliggende polsk militærenhed nogle sygehjælpere, 2 chauffører og et par russiske krigsfanger. Hospitalet blev ledet af dr.med. A.V.S. Norgaard, der før havde ledet en transport af sårede engelske krigsfanger fra de baltiske lande til England.

De polske sygeplejersker var af høj kvalitet og de russiske krigsfanger blev anvendt til kløvning af brænde og andet forefaldende arbejde, herunder bevogtning af hospitalet, da tyveri var et problem. Disse tidligere fanger var yderst arbejdsomme, hvad der må ses i betragtning af, at de her havde adgang til overnatning, fik mad og drikke og havde lægehjælp. Alternativet var at gå måske flere tusinde kilometer gennem et Rusland i oprør til deres hjemstavn.

Alt i alt må hospitalet have haft en stab på omkring 30 personer. Sengetallet var oprindeligt 100, men blev efterhånden udvidet til 250 senge. Materiellet stammede fra den danske hærs lazaret beholdninger og fra indkøbte artikler. Medicin leveredes af det danske rigshospitals apotek. Det danske Røde Kors stod for udgifterne i forbindelse med gaver fra en del karitative foreninger, i spidsen for hvilke stod *dr.theol. Alfred Th. Jørgensen*.

I perioden februar-juni 1921 modtoges 722 syge og sårede polske soldater, der kom med jernbane fra de russiske områder. Af disse blev de 712 udskrevet efterhånden og

10 døde på hospitalet. Af de udskrevne var de 417 helbredte, 269 bedrede og 26 ikke bedrede. Den gennemsnitlige liggetid på hospitalet var 2 uger. Hertil kom en del civile patienter, der blev behandlet ambulat. Den mest behandlede sygdom var malaria.

Forbindelsen til Danmark var besværlig. Post var uregel-

mæssig og de nødvendige besøg i København betød for dr. Norgaard en langvarig tur med jernbane til Gdansk og derfra med kulkøbe til København. Rejsen kunne tage dage. Her var den danske ambassade i Warszawa meget hjælpsom, idet den kunne modtage penge og breve som diplomatpost og videregive det til hospitalet. I København var den polske ambassadørs frue, grevinde Dzieduszycki leder af en hjælpekomité, der i høj grad støttede hospitalsprojektet. I juli 1921 blev Røde Kors Hospitalet lukket, det danske personale tog hjem til Danmark og materiellet blev foræret til de polske Røde Kors.

Kort efter 2. verdenskrig blev det i Danmark besluttet igen at sende et felthospital til Polen og igen fik dr. Norgaard ledelsen af det, nu havde han jo erfaringen. Denne gang stod langt flere penge til rådighed for projektet. Situationen var denne gang anderledes i Polen. Der var samme omfang af ødelæggelser, men på 2 områder var arbejdet betydeligt enklere: Kommunikation var lettere, det var muligt at telefonere og postsystemet virkede bedre. Mest betydningsfuldt var det, at også transport var blevet hurtigere. Der var lastvogne og personbiler at få og dr. Norgaard kunne disponere over et lille transportfly fra de danske retningselskab Falck, så han kunne på en dag tage til København til de nødvendige møder og vende tilbage til Polen samme dag – evt. med en forsyning af lægemidler.

De forbedrede transportforhold kom også patienterne fra de civile områder til gode. De kunne behandles hurtigt og ikke som tidligere have lang transporttid til hospitalet. Et andet væsentligt punkt var de nye medikamenter, der var kommet til, f.eks. penicillin.

I modsætning til 1921 blev der i 1945/46 oprettet flere hospitalsafsnit under Danske Kors i Polen. Klinik 1 i Wrzeszcz var en tandlægeklinik, klinik 2 var for medicinske tilfælde og klinik 3 for veneriske og dermatologiske tilfælde. Også denne gang var der god kontakt til den danske ambassade i Warszawa og den polske ambassade i København, ledet af *dr. Stanislaw Kelles-Krauz*, der selv var læge.

Det var frygtet, at tuberkulose skulle være den alvorligste sygdom, men det viste sig at være fnat (scabies). Det var nødvendigt at bestille 60.000 kg fnatsalve! Men naturligvis havde klinikkerne talrige andre opgaver: kirurgiske og medicinske. Meget stor hjælp kom fra USA, hvor flere religiøse organisationer sendte medicinsk personel og materiel til Polen. At samkøre disse hjælpeorganisationer var en ofte ret diplomatisk opgave, erindre dr. Norgaard. I et møde 6. december 1946 i "Dansk-Polsk Hjælpefond" besluttede man at afslutte hjælpearbejdet i Polen. Igen blev materiellet overgivet til polsk Røde Kors.

O. Norgaard, cand.polyt.



Dr. med. A.V.S. Norgaard

O DUŃSKICH SZPITALACH W POLSCE



cand.polyt. O. Norgaard

Powyższy duńskojęzyczny artykuł napisał O. Norgaard, syn A.V.S. Norgaarda, ordynatora i szefa duńskiego wojaskowego szpitala polowego „Ambulancen Dannebrog”.

„Ambulancen Dannebrog” został wysłany do Polski pod koniec listopada 1920 roku. Głównym celem szpitala było uczestnictwo w walce z chorobami zakaźnymi. Istniała obawa, że choroby te mogą się

przenosić z Rosji do Polski i dalej do Europy Zachodniej w związku z otwarciem granicy między Polską i Rosją po zawarciu pokoju i wymianą więźniów. Szpital został umiejscowiony w Zajezierzu, w okolicach twierdzy Dęblin, na południe od Warszawy. Znajdował się tam obóz baraków mających miejsce dla 5000 osób. Tam też przetrzymywano żołnierzy wracających z Rosji w 14-dniowej kwarantannie.

Zanim szpital został zorganizowany, lekarze i pielęgniarki z duńskiego szpitala polowego zaczęli leczyć ambulatoryjnie miejscowych mieszkańców, gdyż w promieniu wielu mil nie było żadnego cywilnego lekarza. Praca szpitala polowego została podzielona między samym szpitalem a ambulatorium, które zostało utworzone za zgodą władz. Ambulatorium odciążało szpital w okresach, kiedy nie było miejsca dla nowych pacjentów. Poza tym działało jako okoliczna klinika. O ile czas na to pozwalał, lekarze i pielęgniarki ze szpitala byli do dyspozycji okolicznych mieszkańców i żołnierzy z pobliskiej twierdzy w ramach domowych wizyt lekarskich i pielęgnacji chorych. Szczególnie pomoc ta była potrzebna w związku z porodami, gdyż brakowało lokalnych położnych. Oczywiście pomoc lekarska była za darmo. Również lekarstwa, opatrunki i odzież ze szpitalnego zapasu były przyznawane bez opłat.

Duński szpital polowy składał się ze 100 łóżek z pełnym wyposażeniem koniecznym do działalności szpitala. Okazało się jednak, że ta ilość jest za mała w stosunku do ciągle zwiększającej się liczby jeńców wracających do kraju. W tej sytuacji polskie władze zaoferowały dodatkowo 150 łóżek wraz z wyposażeniem do dyspozycji duńskich lekarzy. Oferta została przyjęta i 4 kwietnia szpital został rozszerzony do 250 łóżek w dwóch budynkach. Od 1 czerwca prowadzenie szpitala przejął polski Czerwony Krzyż z Warszawy.

Ponieważ ilość pacjentów zmalała w 1921 r., w lipcu działalność szpitala polowego została zawieszona. Cały szpital został подарowany polskiemu Czerwonemu Krzyżowi. Szpital wojskowy w ciągu 5 miesięcy swojego funkcjonowania udzielił pomocy lekarskiej 2074 pacjentom. Z tej liczby 722 pacjentów przebywało w szpitalu, 712 stopniowo zostało wypisanych, 10 pacjentów zmarło.

Po II wojnie światowej Dania ponownie postanowiła wysłać szpital polowy do Polski. Kierował nim znowu dr. A. Norgaard, który miał już doświadczenie z lat 1920–1921. Tym razem praca dr. Norgaard była łatwiejsza, była lepsza komunikacja, poczta działała lepiej i była możliwość załatwiania spraw przez telefon. Transport był szybszy. Dr. A. Norgaard od firmy Falck dostał do swej dyspozycji mały samolot. Dużą korzyść z samolotu mieli pacjenci, których szybko można było przetransportować na leczenie. Bardzo duże znaczenie w leczeniu miały nowe lekarstwa, jak penicylina.

W latach 1945–1946 duński Czerwony Krzyż utworzył 3 kliniki w Polsce: 1 – klinikę stomatologiczną, w Gdańsku-Wrzeszczu, 2 – klinikę medyczną, 3 – klinikę chorób wenerycznych i dermatologicznych. Obawiano się epidemii gruźlicy. Okazało się, że największym zagrożeniem był świerzb. Konieczne było zamówienie 60.000 kg maści na świerzb. Kliniki miały wiele zadań: chirurgicznych i medycznych. W grudniu 1946 zdecydowano zakończyć działalność w Polsce. I tak jak w roku 1921 wszystkie materialne dobra zostały przekazane polskiemu Czerwonemu Krzyżowi. Przez cały czas swojej działalności dr. A. Norgaard współpracował ściśle z władzami polskimi i duńskimi. Utrzymywał regularne kontakty z ambasadami polską i duńską. Otrzymał wiele odznaczeń. Między innymi Krzyż Kawalerski Dannebrog, odznaczenie od polskiego Czerwonego Krzyża (rok 1949), odznaczenie od duńskiego Czerwonego Krzyża (rok 1946).

Dr. A.V.S. Norgaard jako wyraz uznania za pracę na rzecz Polski otrzymał od Polskiego Rządu w roku 1930 Order Odrodzenia Polski „Polonia Restituta”. Jego syn, O. Norgaard, posiadał materiały dokumentujące całą działalność swego ojca w Polsce. Z własnej inicjatywy pojechał do Warszawy w 2016 r. i przekazał zdjęcia oraz dokumenty z pełnym wyjaśnieniem do Głównej Biblioteki Lekarskiej.

Lidia Szuster

TYVE-ÅRET FOR KIESLOWSKIS DØD

For tyve år siden, den 13. marts 1996 døde Krzysztof Kieślowski. Den polske filminstruktør blev kun 54 år gammel.

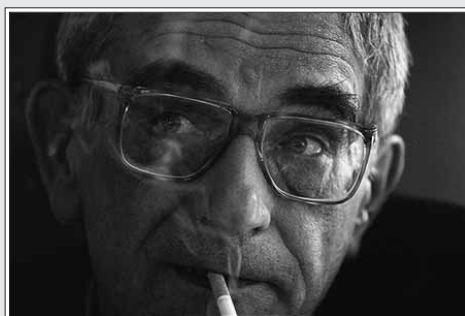
Kieślowski var en berømt, prisvindende og højt værdsat filmskaber, et kraftcenter i europæisk film. Alle rede i sin kandidatgrad afhandling, skrev han, at kun den mand, der er ærlig kan gøre en ærlig film. Og det holdt han. Hans film viste os, at han var et anstændigt menneske. Kieślowski var kompromisløs og altid dybt personlig, både med hensyn til tema og i sin filmiske greb.

I Kieślowskis film er en mand ganske alene, og hans levetid er reguleret ved en tilfældighed eller ved noget, der er uden for hans kontrol.

Film var for Kieślowski en besættelse. Han blev en ledende personlighed i den polske filmindustri i 70'erne og 80'erne, efter at være blevet uddannet fra filmskolen i Łódź i 1969.

Internationalt blev han kendt med filmen "Amatør" (1979), en satire af politisk filmcensur i hans hjemland. Kieślowski oplevede selv censur, herunder med TV-filmen "Krótki dzień pracy" (En kort arbejdsdag), som blev forbudt.

Hans vigtigste værk omfatter "Dekalog" – ti film, hvor det enkelte films tema er taget fra de ti bud samt den berømte trilogi "Blå", "Hvid" og "Rød", baseret på mottoet for den franske trikolore; frihed, lighed og broderskab.



Krzysztof Kieślowski

Personligt om Krzysztof Kieślowski (1941–1996)

Jeg husker ikke meget til, hvordan jeg reagerede, da jeg hørte nyheden om Kieślowskis død, men jeg husker, at en dansk tv-kanal valgte at genudsende hans film, herunder de tre farver Rød, Hvid og Blå, og hele Dekalogseriens ti film. Jeg optog dem alle sammen på vhs-bånd. Det var før dvd'ernes indtog. En overskrift til Kieślowskis film kunne formentlig være "Menneskelivet er underligt".

Ud over at sætte hverdagens små detaljer på spidsen, var han et geni til at sige store ting på en kort og koncis måde.

Desuden er hans tolkning af de ti bud enestående i filmhistorien, og han har tvistet en del af dem. Bud-det om ikke at stjæle, bliver vendt til spørgsmålet – kan man stjæle sit eget barn? Og i filmen om buddet "du må ikke slå ihjel" ses først en ung mand, der af ren kedsomhed og mere eller mindre tilfældigt slår en taxi-chauffør ihjel på en temmelig kikset måde. Hvorefter staten tager stafetten op, og dræber den unge mand – han bliver nemlig dømt til døden igennem hængning. Over dette

bud har Kieślowski også lavet en hel spillefilm – eller rettere: Dekalogfilmen er spillefilmen skåret ned til cirka en time. Spillefilmen har den sigende titel: "En lille film om kunsten at dræbe", og er en foruroligende film om, hvordan kedsomhed kan dræbe i mere end en forstand.

Personligt synes jeg, at mesterværket over alle, er filmen "Blå". Ud over at være helt usandsynligt flot filmet, og hovedrollen som Julie eminent er spillet af Juliette Binoche, så er musikken vanvittig smuk, og er endog komponeret over Kærlighedens Højsang fra Paulus' berømte brev fra Det Nye Testamente.

Min yndlingsscene er der, hvor man hører sangen i sin fulde længde, og i det øjeblik, hvor der synges "men størst af dem [tro, håb og kærlighed] er kærligheden", zoomes der ind på en monitor med det scannede billede af det lille barn i moders mave – hvor farven blå i sine nuancer naturligvis fylder en del. Og vi ved fra filmen, at det er et kærlighedsbarn. Det er så smukt, så smukt.

Juma Kruse

Podwójna zależność muzyki duńskiej: sztuka „duńska” – narodowa/sztuka „północy” – nordycka (część 1)

Problem definicji sztuki narodowej, a więc typowo duńskiej, (czy polskiej itd.) nie jest sprawą prostą. Bardzo wiele rzeczy przyjmuje się bowiem za fakty, które nimi nie są. Bo nie tylko obiekt badany – dana kultura muzyczna w tym wypadku – ale również obiekt badający, konkretny naukowiec zajmujący się tym zadaniem, pozostaje w danym kontekście kulturowym, który wydaje się być obiektywnie jasny i zdefiniowany, nie będąc takim jednak.

Pozwalam sobie na twierdzenie, że moja pozycja, jako kogoś wychowanego w jednej kulturze (polskiej), ale wykształconego i „przesiąkniętego” drugą kulturą (w tym wypadku duńską) pozwala mi na bardziej neutralne spojrzenie na tę sprawę, choć i tu można sobie zadać pytania odnośnie mojej obiektywności.

To, że pewne zjawiska są z góry zdefiniowane, „jasne” dla wszystkich, ukazało mi się nadzwyczaj wyraźnie już na początku moich studiów muzykologicznych w Kopenhadze. Uczęszczałam na – obowiązkowe skądinąd – ćwiczenia z harmonizacji w stylu wolnym (*fri stil*) i od samego początku zaczęłam mieć trudności. Rozumiałam bowiem „*fri stil*” (a więc styl niezwiązany jakąś konwencją – np. barokową albo romantyczną) za możliwość harmonizowania tak, jak to mi się wydawało poprawnie i ładnie. Melodie przedstawione, które należało zharmonizować, były w stylu wczesnoromantycznym, tak więc starałam się dobrać do nich odpowiednie akordy, nie oszczędzając dominant septymowych i „okraszać” harmonizacje przejściowymi dźwiękami obcymi harmonicznymi. Mój nauczyciel kręcił głową i ciągle mówił: „to nie jest styl wolny, spróbuj jeszcze raz”. No i próbo-

wałam i rezultat był – według mego mentora – równie marny, jak za pierwszym razem.

Po kolejnej nieudanej próbie po prostu rozplakałam się z niemocy. Nie wiedziałam jeszcze wówczas, że kilka uronionych łez w duńskiej sferze kulturowej to prawie że głęboka depresja, mogąca nawet prowadzić do prób samobójczych. Mój nauczyciel, Carsten, wyraźnie się przestraszył. Nie chciał mieć na sumieniu młodego życia, więc postanowił mi pomóc. „- Pożycz sobie duńską księgę psalmów zharmonizowaną na organy i przełóż ją chorale Weysego i Zincka. To jest *fri stil*”.

Zrobiłam, jak mi poradził, i znalazłam harmonizacje bardzo łagodne, absolutnie pozbawione dominant septymowych i dźwięków obcych harmonicznymi. Za to dbających o to, by wszystkie głosy poruszały się z użyciem jak najmniejszych interwałów, a linia basu by była tak bliska pochodowi sekundowemu, jak to możliwe. Melodie były skądinąd ładne i jakieś takie „miękkie”. „No to zharmonizujemy zadanie według przepisu” – pomyślałam, złoścąc się, że nie napisano w opisie ćwiczeń, że jest to „harmonizacja w stylu Weysego i Zincka”, a ukryto ten fakt pod fałszywym tytułem „wolna harmonizacja”. Szybko zebrałam pochwały, a Carsten do końca swego życia pamiętał, jak to się rozplakałam na jego zajęciach. Zdaje się, że był dumny z faktu, iż nie popełniłam samobójstwa, że skończyłam studia muzykologiczne i na dodatek zostałam organistą, którym on też był.

Z nazwiskiem Weysego spotkałam się wkrótce ponownie na lekcjach śpiewu. Miałam je u byłego tenora operowego, Nielsa. Niels po pierwsze uważał (zupełnie bezpodstawnie), że mam zadatki na bycie koloraturowym sopranem (szybko go w tym rozczarowałam), ale też postanowił mi przybliżyć duńską kulturę muzyczną i pewnego dnia powiedział – „teraz zaśpiewamy najpiękniejszą duńską melodię”. Okazała się ona być psalmem na Boże Narodzenie, była czymś w rodzaju kołysanki na 6/8 i była autorstwem Weysego. Owszem, podobała mi się, ale tak specjalnie piękna – według mojego polskiego gustu – nie była. Dziś jestem zawsze wzruszona, kiedy śpiewamy ją w kościele na nabożeństwie wigilijnym.

Wkrótce zaczęłam też studiować historię muzyki duńskiej. I jakież było moje zdziwienie, kiedy dowiedziałam się, że moi „zbawcy” z zakresu harmonizacji w wolnym stylu – Weyse i Zinck – byli Niemcami.

Christoph Ernst Friedrich (C.E.F.) Weyse (1774–1842), który pochodził z Altony, przyjechał do Kopenhagi, by tu studiować. Niestety, statek, którym płynął, bardzo huśtał i młody Weyse myślał, że tego nie przeżyje. Kiedy w końcu wysiadł na ląd, zrozumiał, że



Obraz Wilhelma Marstranda z 1834 r.: Koncert w domu radcy Christiana Waagepetersena. Przy fortepianie C. F. Weyse

już tu zostanie – drugi raz nie będzie swego życia tak narażał. Stał się ważną osobistością w duńskim życiu muzycznym. Był organistą w kopenhaskiej katedrze, mieszkał – z widokiem na piękny park – w kamienicy pochodzącej z XVIII wieku, która stoi do dzisiaj. Pozostawił po sobie spory dorobek kompozytorski. Do końca życia nie nauczył się duńskiego – zresztą nie czuł potrzeby, jako że cały dwór i tak zwana „śmietanka towarzyska” mówili po niemiecku.

Dziś znany jest głównie jako kompozytor melodii do psalmów Bernharda Severina (B.S.) Ingemanna (1789–1862) i nawet współcześni Duńczycy – nieśpiewający niczego, niemający śpiewu w szkołach, niechodzący zbyt często do kościoła – potrafią zaśpiewać melodie Weysego do psalmu „Słońce wschodzi na wschodzie” (*I østen stiger solen op*). Gram ją na co drugim pogrzebie, na wszystkich nabożeństwach dla dzieci, na nabożeństwach w domu starców, gdzie głęboko pogrążeni w demencji pacjenci są w stanie poruszać ustami do rytmu tej melodii. Duńczycy zapytani – gdyby ktoś chciał zrobić taki plebiscyt – o jakość tej melodii, na pewno odpowiedzieliby, że jest typowo duńska. W sumie nie jest ona aż tak charakterystyczna dla Weysego, bo nie jest na 6/8 metrum, które sobie upodobał.

Niezliczone są jego melodie, w dur i na 6/8. I nie dziwi mnie zupełnie fakt, że kiedy Niels Wilhelm (Niels W.) Gade (1817–1890) – pierwszy rodowity Duńczyk w pocście duńskich kompozytorów – napisał swą pierwszą symfonię, w której użył własnej melodii do piosenki: „Na pięknych łąkach Zelandii” (też do tekstu Ingemanna), to melodia ta – dla niego i dla jego słuchaczy absolutnie „duńska” – przypomina melodię Weysego i jest – oczywiście – na 6/8. I tak to Niemiec z Altony stał się ojcem duńskiej muzyki narodowej.

Nie był on pierwszym Niemcem, który zasłużył się w rozwoju muzyki duńskiej – przed nim i równocześnie z nim działali: Johann Abraham Peter (J.A.P.) Schultz (1747–1800) w Kopenhadze w latach 1787–1795, Friedrich (Daniel Friedrich Rudolph) Kuhlau (1786–1832) oraz Friedrich Ludwig Æmiliius (F.L.Æ) Kunzen (1761–1817). Dla późniejszego rozwoju muzyki duńskiej, przede wszystkim tak ważnych w tym kraju pieśni, istotne znaczenie miał J.A.P. Schultz, nie tylko wywierając wpływ swymi kompozycjami, ale też przemyśleniami na temat tego, jak powinna być skomponowana pieśń, którą można by śpiewać zbiorowo, bez uprzedniego ćwiczenia i nie posiadając zbyt rozwiniętego i wykształconego głosu. Ambitus pieśni nie powinien przekraczać oktawy, przewagę powinny stanowić postępy sekundowe, wszelkie skoki należy od razu „zbalansować” ruchem przeciwnym, najwyższy dźwięk melodii powinien przypaść trochę po połowie (najlepiej w „złotym środku”) melodii; ten, kto styka się z pieśnią po raz pierwszy, ma mieć wrażenie, że już gdzieś ją słyszał („Schein des Bekannten”). O tym ostatnim warunku mówią prawie wszyscy duńscy kompozytorzy pieśni, z Nielsenem włącznie.

Ale wracając do Weysego – o jego znaczeniu w życiu muzycznym Danii (w tym czasie można postawić znak

równości między „Dania” i „Kopenhaga”) świadczy np. wielki obraz przedstawiający Weysego jako „duszę towarzystwa” w muzycznym salonie Kopenhagi, u bogatego kupca Christiana Waagepetersena, który zamówił obraz w roku 1834 u jednego z najlepszych malarzy tego czasu Wilhelma Marstranda (1810–1873). Oprócz Weysego gra kwartet smyczkowy, wokół fortepianu stoją znane osobistości życia muzycznego kraju, na ścianie wisi portret Kuhlaua, który zmarł w roku 1832.

Właśnie w tym czasie, na początku XIX wieku, zaczyna budzić się świadomość narodowa Duńczyków, którzy wcześniej nie eksponowali swej odrębności. Dominowała kultura niemiecka. O tym, że Dania – a i inne kraje Północy – mogą posiadać specyficzną kulturę, również muzyczną, nie było jeszcze mowy. Ale właśnie w tym czasie zaczęto interesować się w całej Europie przeszłością każdego narodu. Duży wpływ miała tu filozofia Johanna Gottfrieda von Herdera (1744–1803), który widział wielkie wartości w tak zwanym „prawdziwym, pierwotnym człowieku”, w związku z czym zachęcał do „dogrzebywania” się do przeszłości, której zrozumienie miało pomóc przełamać jednostronny racjonalizm ówczesnego czasu. Tak więc i w Danii zaczęto interesować się przeszłością, i to przeszłością dawną.

Sporo miejsca zajmuje tu przeszłość przedchrześcijańska, między innymi liczne kurhany nagrobne [w formie wielkich głazów ułożonych w charakterystyczny sposób, często otoczonych kręgiem mniejszych głazów (*dysser*)], częsty motyw duńskiego malarstwa w okresie romantyzmu, oraz tak zwane „złote rogi” znalezione w południowej Jutlandii w połowie XVII wieku i przechowywane w skarbcu w Kopenhadze. Rogi (ze szczerzego złota, ważące ponad 7 kg) pochodziły z V wieku naszej ery, miały motywy rzymskie i nordyckie, były też opisane runami. W roku 1802 zostały skradzione i przetopione. Złodzieja złapano, część złota (złodziej, który był złotnikiem, wyprodukował sporo biżuterii) odzyskano, ale rogi przepadły na zawsze. Ten fakt „zamachu na narodowy klejnot” był jednym z czynników budujących narodową tożsamość. Powstały liczne utwory poetyckie na ten temat, obrazy, a Johan Peter Emiliius (J.P.E.) Hartmann (1805–1900) napisał muzykę do recytacji poematu największego duńskiego poety tych czasów, Adama Oehlenschägera (1779–1850), pod tytułem *Gul-*

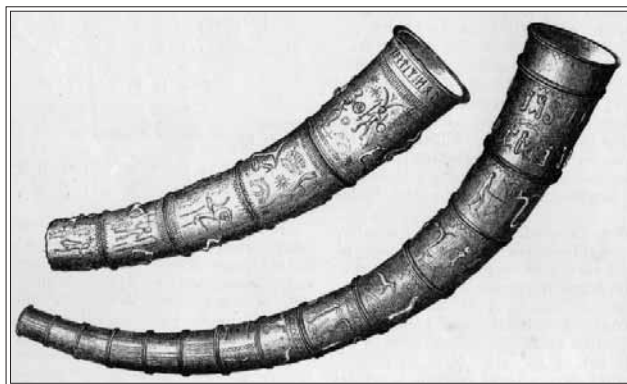


Pomnik N.W. Gade w Kopenhadze

dhornene (Złote rogi). W końcu XIX wieku wykonano kopię rogów (w roku 2007 usiłowano ukraść również i kopię z wystawy, ale złodziei złapano). W tym samym czasie zaczęto również interesować się przeszłością wikingowską, w ziemi znajdowano różne przedmioty z tamtych czasów, z napisów w runach zaczęto odtwarzać historię starej, nordyckiej religii.

Rozpoczęto też studiowanie starych pieśni, z których tylko niewielka ilość zachowała swe melodie. Najstarsza duńska piosenka (*Drømte mig en drøm i nat* [*Śniło mi się dzisiaj w nocy*]), gdzie zachował się zarówno tekst (pisany runami) jak i melodia, zapisana została w Codex Runicus około roku 1300. W XIX wieku rozpoczęto poszukiwanie duńskich starych pieśni z czasów pogańskich (zwanych *kæmpeviser* [wielkie pieśni]).

W tym miejscu należy może nadmienić, że duńskie pieśni ludowe w zasadzie nie były znane w XIX wieku, bo „zniknęły” z życia społecznego Danii. Jest to przypuszczalnie rezultat wprowadzenia religii protestanckiej w Danii z nabożeństwem, w którym drukowane psalmy zajmują miejsce części liturgicznych. Psalmy były w początkowych wiekach po reformacji głównie tłumaczone z niemieckiego, później tworzone przez



Guldhornene (Złote rogi)

wybitnych duńskich poetów otrzymywały melodie komponowane, a nie „ludowe”. Zbiorowe śpiewanie na nabożeństwach (gdzie śpiewa się psalmy w całości, i gdzie „akcja liturgiczna” zamiera na czas śpiewania) miało wpływ na rozwój tak zwanej duńskiej pieśni zbiorowej (*fællessang*) i wydawanie licznych śpiewników zawierających te pieśni.

Eva Maria Jensen



MARSZALKOWSKA

(UDDRAG AF ZLY – DEN ONDE MAND)



Leopold Tyrmand

”Nej! Jeg giver op...” stønnede Marta, ”jeg kan ikke spise en mundfuld mere”.

”Bare én til. Pølser er sundt, de styrker knoglerne”, sagde Halski og tog en slurk af glasset med det skummende, lyse øl. ”Nej, det er umuligt! Jeg tror, De har en eller anden lumsk bagtanke med dette pølsergie”. Hun bøjede sig ind over det høje, smalle bord og tørrede en klat ølskum af hans næse. De stod og spiste i en af Marszalkowskagades barer. Ved buffeten dampede åbne kedler med færdige varme retter. Der lugtede af kål og pølse.

”Så en halv?” spurgte Halski, ”så skal jeg spise resten”.

”Ikke tale om! Jeg kan ikke tåle at se pølser den første måned”.

”Det kommer der af at være for grådig”, sagde Halski, ”det undrer mig ikke – efter sytten pølser...”

”Jeg ved ikke, hvad der er værst”, sagde Marta med isnende kulde, ”Deres modbydelige hykleri eller Deres skamløse gemenhed?”

De gik ud på den brede Marszalkowskagade med de utallige lygter og lysreklamer. Den vældige by strakte sig til alle sider. Vejret var koldt og fugtigt, gadens våde asfalt skinnede sort. Nu ved nitiden så den lange, brede gade ud som en uhyre stor sal med lange stenmure. Folk gik roligt og nød storbyens aften.

”Lad os gå hen i en lille, elendig restaurant, hvor der ikke er spisning, og få et glas ungarsk vin. Jeg har aldrig været der, men vi kan jo prøve den”.

”Hvordan har vi det med penge?” spurgte Marta sagligt, ”jeg har kun halvtreds zloty på mig, og den eneste restauration, jeg kender her i nærheden, er ”Raritas”, og dér tror jeg ikke, vi kan regne med nogen filantropisk ånd hos direktionen eller med rabat til forhenværende studenter”.

”De skuffer mig”, sagde Halski bedrøvet, ”her gik jeg



Leopold Tyrmand (pseudonym Jan Andrzej Stanisław Kowalski; 16. maj 1920–19. marts 1985) var en polsk forfatter og publicist.

Før 2. verdenskrig læste Tyrmand arkitektur i Paris. Under krigen tog han til Vilnius, hvor han var klummeskriver. Efter krigen boede han i Danmark, Norge, Frankrig og Polen (hvor han skrev for bladene *Przekrój* og *Tygodnik Powszechny*). I 1966 flyttede han til USA, hvor han arbejdede på *The New Yorker* og var ansat på State University of New York og Columbia University.

Leopold Tyrmands mest kendte bøger er *Hotel Ansgar* (1948), *Zły* (1955) (på dansk: *Zły – den onde mand*, Gyldendal 1959, forkortet oversættelse af Edith Frey), *Gorzki smak czekolady «Lucullus»* (1957), *Filip* (1961), *Życie towarzyskie i uczuciowe* (1967), *Cywilizacja komunizmu* (1972), *Siedem dalekich rejsów* (1975), *Dziennik 1954* (1980).

og troede, at De var en lille uskyldighed, og at det var faldet i min lod at indvie Dem i storbyens natteliv”.

Hun protesterede dog ikke, da han tog hende under armen og førte hende ind i restaurationen. En kæmpe stor portier med overskæg og i uniform hilste hjerteligt på Halski: ”Godaften, doktor, og velkommen...” Marta undertrykte et smil. ”De er åbenbart ikke fuldstændig fremmed her”, hviskede hun og lo som en skolepige. ”Det er en patient”, sagde Halski undvigende, ”jeg har engang kureret ham for galdesten”.

De gik op ad marmortrappen til første sal. Her stod enkelte borde dækket til spisning. Tjenere i hvide trøjer og med sorte slips gik værdigt frem og tilbage.

Halski og Marta tog plads på de høje stålstole ved baren. Her var stille, ligefrem behageligt, med lavt loft og indirekte belysning. En lille mand, der stod bag bardisken i hvid trøje, lyste op, da han så Halski. ”Godaften, doktor”, sagde han, ”det er rart at se Dem igen”. ”Godaften”, sagde Halski strengt, ”tror De ikke De forveksler mig med en anden”. ”De har måske også været doktorens patient?” spurgte Marta bartenderen, fnisende som en skolepige. ”Nej tværtimod, frøken, det er doktoren, der har været min patient, gang på gang”. Halski stirrede op i loftet og trommede i bordet. ”Er De færdige med at sludre?” spurgte han, ”så vil vi gerne have to glas cognac”. ”Jeg troede, vi skulle have vin”, sagde Marta. ”Det skulle vi også have haft, men efter den omgang jeg har fået, trænger jeg til noget stærkere”.

Marta støttede albuerne mod bardisken og læste etiketterne højt på de flasker, der stod på hylderne bag baren: ”Cointreau, Slivovica, White Horse, Curaçao, Hennessy, Cinzano, Sherry ... der er noget eksotisk, noget romantisk ved de navne...” sagde hun. ”Ja, de vækker alle slags forestillinger...” indrømmede Halski. ”Nej, det tager De fejl i!” protesterede en herre fra den anden ende af baren, han sad med en kop kaffe og et stort glas vodka foran sig. Han rejste sig op og gik hen imod Marta og Halski. Med sit blege, falmede ansigt og sin slanke, smidige skikkelse lignede han en professionel danser. ”De etiketter vækker

kun skuffelse. De dækker alle over det samme indhold”, fortsatte han. ”Aldeles ikke”, sagde bartenderen, ”jeg kan skelne den ene fra den anden ved den første dråbe”. ”Ja, hvad betyder det? Smag er en rent ydre egenskab. Det betyder ingenting. Det er det samme med kvinder: de har alle sammen forskellige etiketter, og hver af dem giver manden nøjagtig den samme fornøjelse, den samme skuffelse”. ”Det kan jeg ikke give Dem ret i”, sagde Halski smilende, ”det er alt sammen et spørgsmål om en forfinelse af smagen, der sætter én i stand til at skelne og nyde visse fine forskelligheder”. ”Unge mand”, sagde bargæsten med det blege ansigt, ”det lyder måske kynisk, hvad jeg siger, men engang vil De komme til samme resultat som jeg. Og hvad mener De?” spurgte han Marta. ”Ingenting”, sagde hun, ”jeg er genstand for Deres diskussion, og genstande kan ikke have nogen mening, det var enhver”. Og hun smilede sit strålende smil og fik både den blege og bartenderen til at smile. Pludselig lavede de alle sammen op og begyndte at tale om influenzaepidemien.

Marta og Halski drak deres cognac ud, og den blege inviterede dem på et glas af noget mere eksotisk. Efter mange forskellige forslag valgte de almindelig polsk vodka. Da de havde drukket den, tog de afsked, og Marta og Halski forlod lokalet.

De gik langsomt ned ad den øde Marszałkowska. Marta stoppede hvert øjeblik for at se på butiksvinduer, Halski sagtnede farten, men standsede ikke. Da de nåede Konstitutionspladsen sagde Halski: ”Hør Marta, du fryser vel ikke?” Marta rystede på hovedet. Han tog hende i hånden, og de satte sig på en bæk under en af de store gadelygter.

”Hvorfor siger De du til mig...” spurgte Marta stridslysten. I det øjeblik slukkedes gadelygterne én for én, også den de sad under. Halski tog Marta under armen og nærmede sit ansigt til hendes. Martas læber var kølige af den fugtigkolde natteluft, de blev snart bløde og brændende.

”De dyrker altså alligevel den korte distance”, sagde Marta med ærgrelse i stemmen og rettede på sit hår. ”Hvorfor løj De før? Jeg kunne lide at vide, hvor hurtigt De kunne løbe hundrede meter, da De var i topform...”

”Jeg løj ikke”, sagde Halski hidsigt, ”det kys var ikke resultat af en løgn. Og se, selv elektricitetsforsyningen er på vores parti”.

Der blev slukket endnu flere lamper på den store plads.



”Det var jo blot en såkaldt smagsprøve”, sagde Marta, ”for én med så forfinet smag, at han kan skelne de fineste forskelligheder”.

”Nej”, sagde Halski bestemt, ”den fyr i baren havde ikke ret. Måske udtrykte jeg mig ikke særlig godt, men det var ikke min mening at være kynisk. Jeg har aldrig haft den slags tanker som han. Tro mig, Marta, det er dig, jeg har søgt efter i mange år...”

Hun rejste sig op. ”Lad os gå...” sagde hun. Men pludselig satte hun sig igen, nærmere ved ham, og han lagde igen sin arm om hende.

**Leopold Tyrmand
på dansk ved Edith Frey**

(ZLY – *Den onde Mand*, Gyldendal 1959)



1936–2016

„Nieciągłość Lehmann”

Inge Lehmann (ur. 13 maja 1888 w Kopenhadze, zm. 21 lutego 1993 tamże) – duńska geofizyk, sejsmolog, wykładowca w Royal Society w Londynie. W 1936 odkryła wewnętrzne jądro Ziemi na podstawie rozchodzenia się fal sejsmicznych, spowodowanych trzęsieniem ziemi w południowej części Oceanu Spokojnego, w pobliżu Nowej Zelandii.

Inge Lehmann urodziła się i wychowała w Østerbro, dzielnicy Kopenhagi, jako córka eksperymentalnego psychologa Alfreda Lehmana (1858–1921). Uzyskała edukację szkolną w pedagogicznie postępowej szkole (m.in. równe traktowanie chłopców i dziewcząt) prowadzonej przez Hannę Adler (ciotkę Nielsa Bohra). Według Lehmann, jej ojciec i Hanna Adler wywarli najbardziej znaczący wpływ na jej rozwój intelektualny.

Po zakończeniu szkoły studiowała, z przerwami ze względu na zły stan zdrowia, matematykę na Uniwersytecie Kopenhaskim i Uniwersytecie Cambridge.

Po kilku latach pracy w ubezpieczeniach została asystentką geodety Nielsa Erika Nørlunda, który zlecił jej zadanie utworzenia sejsmologicznych obserwatoriów w Danii i na Grenlandii. To sprawiło, że zainteresowała się sejsmologią. W 1928 roku zdała egzamin z geodezji i została szefem departamentu sejsmologii w duńskim Geodætisk Institut, kierowanym przez Nørlunda.

Osiemdziesiąt lat temu, w 1936 r., w dokumencie o nietypowym tytule „P” przedstawiła własną interpretację badania wnętrza Ziemi przy pomocy fal sejsmicznych typu *P* i wykazała, że centrum wnętrza Ziemi składa się z dwóch części: stałego jądra wewnętrznego i płynnego jądra zewnętrznego. Są one oddzielone strefą graniczną, którą nazwano „nieciągłością Lehmann” (ang. *Lehmann discontinuity*). Interpretacja ta została

przyjęta w ciągu dwóch – trzech lat przez innych sejsmologów: Beno Gutenberga, Charlesa Francisa Richtera i Harolda Jeffreysa. II wojna światowa i okupacja Danii przez wojska niemieckie utrudniła Lehmann prowadzenie dalszych prac naukowych.

W ostatnich latach przed jej przejściem na emeryturę w 1953 roku stosunki między nią a innymi naukowcami Geodætisk Institut pogorszyły się, prawdopodobnie ze względu na jej brak cierpliwości wobec mniej kompetentnych współpracowników. Po 1953 r. Inge Lehmann przeniosła się na kilka lat do USA i współpracowała z Mauricem Ewingiem i Frankiem Pressem w badaniach nad skorupą ziemską i płaszczem ziemskim. Podczas tych prac odkryto dalsze nieciągłości sejsmiczne, które powstają na głębokości pomiędzy 190 i 250 km. Zostały one również nazwane „nieciągłością Lehmann” na cześć odkrywczyni.

Lehmann uzyskiwała wiele wyróżnień za wybitne osiągnięcia naukowe, m.in.: Gordon Wood Award (1960), Emil Wiechert Medal (1964), Gold Medal of the Danish Royal Society of Science and Letters (1965), Tagea Brandt Rejselegat (1938 i 1967), William Bowie Medal (1971; jako pierwsza kobieta), Medal of the Seismological Society of America (1977).

Ponadto otrzymała honorowe doktoraty Columbia University w Nowym Jorku w 1964 r. i Uniwersytetu Kopenhaskiego w 1968 r., jak również inne, honorowe członkostwa.

Jej imię nosi odcinek drogi U.S. Route 1, most w Aventurze na Florydzie oraz planetoida 5632. W 1997 r. American Geophysical Union ustanowiła „Inge Lehmann Medal” dla uczczenia „wybitnego wkładu do zrozumienia struktury, składu i dynamiki płaszcza i rdzenia Ziemi.”

Duńska skrzypaczka Christine Pryn uhonorowana polskim orderem *Gloria Artis*

W kwietniu bieżącego roku duńska skrzypaczka Christine Pryn została uhonorowana polskim orderem *Gloria Artis* za zasługi w propagowaniu muzyki polskiej w Danii.



Christine Pryn przyjmuje medal od Pani Ambasador Henryki Mościckiej-Dendys

Christine Pryn, ur. w 1976 roku, studiowała w duńskich konserwatoriach (na wyspie Fionii oraz w Królewskim Konserwatorium w Kopenhadze). Naukę kontynuowała w *Folkwang-Hochschule* w Essen, a następnie na kursach mistrzowskich. Już w czasie studiów specjalizowała się w wykonaniach muzyki współczesnej. Jej oficjalnym debiutem dyrygował Jan Krenz, a wykonała ona wówczas *Concerto Grosso nr. 5* Alfreda Schnittke.

Od czasu ukończenia studiów Christine otrzymała wiele nagród i prawykonała ponad 80 utworów. Christine koncertowała w wielu krajach, w tym wielokrotnie w Polsce. Już w trakcie studiów Christine poznała muzykę Karola Szymanowskiego, którego utwory wykonywała wielokrotnie. W roku 2003 nagrała *Mity* Szymanowskiego. Nagranie to zostało mianowane *American Record Guide Critic's Choice* w tymże roku.

Drugim odkryciem muzyki polskiej stały się dla Christine utwory Rafała Augustyna. Christine wykonywała jego dzieła wielokrotnie, a jego *Cyclic Piece nr 1* nagrała na swej najnowszej płycie, *Signature* dla firmy Danacord (DACOC762).

W roku 1997 Christine założyła zespół *Nordlys*, kwartet „messiaenowski”: skrzypce, klarnet, wiolonczela i fortepian. Zespół koncertuje w wielu krajach, również w Polsce, gdzie gościł między innymi na festiwalu Warszawska Jesień. W czerwcu obecnego roku występował w nowej sali koncertowej we Wrocławiu, w grudniu ubiegłego roku w sali NOSPR-u w Katowicach.

W roku 2010 Christine Pryn założyła festiwal muzyki kameralnej, *Rudersdal Sommerkonserter*, odbywający się latem w miejscowościach położonych na północ od Kopenhagi. Festiwal ma podtytuł: „piękna muzyka w pięknych miejscach”, a koncerty, często powierzone wybitnym muzykom, odbywają się w zabytkowych kościołach, zameczkach, w muzeum starych samochodów, czy chociażby w klasztorze sióstr karmelitanek. W ramach festiwalu zostaje wręczana rokroczna polsko-duńska nagroda przyjaźni (*Danish-Polish Friedships Prize*) przyznawana młodym polskim muzykom, którzy

w taki czy inny sposób przyczynili się do upowszechnienia duńskiej muzyki w Polsce. W roku 2013 otrzymała ją np. wybitna solistka na marimbie, Marianna Bednarska, rok wcześniej flecistka Elżbieta Woleńska, a w roku obecnym otrzyma ją pianistka Barbara Drażkowska.

W uznaniu wielkich zasług dla szerzenia znajomości muzyki polskiej w Danii Minister Kultury i Dziedzictwa Narodowego przyznał Christine Pryn order *Gloria Artis*, który wręczyła pani ambasador Henryka Mościcka-Dendys na uroczystości w lokalach Ambasady Polskiej w Kopenhadze.

W podziękowaniu za przyznane odznaczenie Christine Pryn powiedziała między innymi: „Jestem bardzo wdzięczna i wielce wzruszona za ten dowód uznania dla mej wielkiej pasji w propagowaniu muzyki polskiej w Danii. Poznanie życia muzycznego w Polsce było momentem przełomowym w mej karierze wykonawczej. W Danii muzyka i kultura to objaw luksusu. W Polsce jest to konieczność.

Od roku 2000 koncertuję w Polsce co najmniej raz w roku. Mimo że po upadku komunizmu zapowiadano upadek kultury w Polsce, nie mogę sama tego stwierdzić. Grywam często eksperymentalną muzykę współczesną, koncerty, na które w Danii przyszłoby może 25 osób. W Polsce na tego samego typu koncertach zjawia się kilkaset osób. Wiele krajów, w tym i Dania, powinna nauczyć się tego samego doceniania ważności kultury, jak to ma miejsce w Polsce. Równocześnie pragnę podziękować Ambasadzie polskiej za pomoc i popieranie moich inicjatyw.”

Eva Maria Jensen



Christine Pryn podczas koncertu zorganizowanego przez Federację „Polonia” z okazji wejścia Polski do UE, Ratusz Frederksberg, 1.05.2004 r.

List króla duńskiego Fryderyka III do wojewody Stefana Czarnieckiego

Oryginał tego listu znajduje się w rękopisach w Bibliotece Czartoryskich, nr 393, polskie tłumaczenie Ludwika Kubali jest w książce „Wojny Duńskie i Pokój Oliwski”, Lwów 1922, s. 168–169.



Król Fryderyk III

*„Fryderyk III, etc.
świadcząc osobliwą łaskę
i wdzięczność naszą królewską.*

Jaśnie Wielmożny uprzejmie Nam miły!

Z najwyższym uznaniem doniesiono Nam, jako WM w wielu potyczkach, a ostatnimi czasy przy zajęciu wyspy Alsen i leżących na niej zamków, między innymi pokonała w trójnasób liczniejszego nieprzyjaciela, sama przewodząc hufcom swoim na przodzie, czem okazała bohaterskie męstwo swoje ku podziwieniu wszech ludzi. Winszowaliśmy sobie zawsze z powodu wysłania Nam WM jako znakomitego wodza i wielce obowiązani jesteśmy królowi polskiemu za afekt braterski udowodniony wysłaniem Nam na pomoc WM. Chcemy przeto oświadczyć Wam wdzięczność Naszą królewską zjednaną tylu zasługami, życząc w duszy, aby wciąż szczęśliwym powodzeniem sława WM nie tylko ojczyźnie, ale całemu światu coraz bardziej znana, szczególnie na tej północy coraz świetniej jaśniała. Niech będzie WM przekonana, że za wszystkie wyświadczone Nam usługi przy pomocy Bożej z czasem okazemy dostojnie wdzięczność Naszą królewską.

W Kopenhadze 24/XII 1658.

*WM Życzliwy
Fryderyk król.”*

(WM – Wasza Miłość)

Illustrissimo Syn.
 "cert. gratęq; Nobis dilecto. &
 Domino Stephano in Carni-
 ca Carniecki. terrarum Rus-
 sia. Palatino exercitus Regni
 in Polonia Generali."

Fridericus Tertius
 R. gratia. Dania. Norwegia. Jan-
 dalorum Gothorumq; Rex. Dux Sleswi-
 ci Holsatia. Stormarja ac Dithmar-
 sia. Comes in Oldenburg et Delmen-
 horst.

Singulari favore ac benevolentia
 Nostra Regia pramissis. Illustrissime Domine
 Sincere, gratęq; nobis dilecte. Maximam cum
 existimatione nobis relatum est, quomodo Ill.
 Vro diversis conflictibus, novissimę etiam in
 occupatione Insulae Alben, sitorumq; in ea
 Castellorum, inter alia, hostis copias, numero,
 militum plusquam triplo suis fortiores, praeun-
 te suo agmine profligando, virtutem suam
 vere Heroicam, cum laude et admiratione omnium
 exercuit: Quemadmodum Nobis semper de
 Illustritate Vra, utpote Duce rebus suis gestis
 praclaro, gratulati sumus, affectumq; Ser.
 Vri Regis, fraternum, in auxilium armorum,
 Nostrorum Illis, Vram submitiendo, abun-
 de deprehendimus, ita benevolentiam Nostram
 Regiam, quam meritis suis etiam apud Nos
 Illustritas Vra acquisivit, contestari hisce
 voluimus, ex animo optantes, ut felicissimis
 quibuscumq; successibus, fama Illustritatis
 Vra non solum patriam, sed exteris etiam cogni-
 ta, universo orbi, praesertim huic arctos, ma-
 gis magisque innotescat. De ceteris certę sibi

persuadeat, Ill. Vra Nos quicquid officio-
 rum Nobis praestitum fuerit, grato ani-
 mo, omni favore Regia cum Deo est
 tempore agnituos. Dabantur in Arec
 Nostra Regia Hafnia, die 24 Decembris
 A. M. DC. LVIIII.

S. Illustriss.
 Denerhus
 Fredericus



Para prezydencka w Katedrze św. Oskara



Prezydent A z wizytą w Kro

w dniach 8–10

Zdjęcia: Rom



Prezydent odznacza Złotym Krzyżem Zasługi przewodniczącą Federacji „Polonia” Lidie Szuster



Prezydent odznacza Złotym Krzyżem Zasługi wiceprzewodniczącego Federacji „Polonia” Marka Kocubę



Biskup Kopenhagi Czesław Kozon i prezydent Andrzej Duda odsłaniają tablicę upamiętniającą Lucjana i Annę „Lone” Mastochów, członków antyhitlerowskiego ruchu oporu w Danii.

Andrzej Duda w śródeństwie Danii

12 czerwca 2016 r.

Jan Śmigieński



Gliptoteka w Kopenhadze (od lewej): Marek Dendys, Agata Kornhauser-Duda, prezydent Andrzej Duda, ambasador Henryka Mościcka-Dendys



Odnaczeni (od lewej): Karol Marcinkowski, Marek Kocuba, Lidia Szuster, Siostra Leopoldyna, Siostra Tarsylla i Siostra Dorota



Mini-recital Czesława Mozila

Nagrody POLONICUS 2016



Tegoroczni laureaci nagrody Polonicus

POLONIA MA DO ODEGRANIA OGROMNĄ ROLĘ – APELUJE LESZEK BALCEROWICZ, LAUREAT NAGRODY POLONICUS

Podczas wręczenia nagród europejskiej Polonii POLONICUS w Akwizgranie 23.04.2016 r. nie ukrywano zaniepokojenia aktualną sytuacją polityczną w Polsce. Laureaci apelowali o Polskę „kierującą się prawem”.

Nagroda POLONICUS, prestiżowe wyróżnienie europejskiej Polonii, wręczana jest na corocznej uroczystej gali w Sali Koronacyjnej ratusza w Akwizgranie. Laureatami nagrody są osoby, których twórczość i działalność przyczynia się do jednoczenia Polonii, do europejskiej integracji oraz budowania pozytywnego wizerunku Polaków na świecie.

W przemówieniu powitalnym Wiesław Lewicki, wieletni działacz polonijny, inicjator oraz przewodniczący kapituły nagrody POLONICUS podkreślił, że Polacy mieszkający w Europie nadal chcą Polski „rozwaznej, roztropnej, kierującej się prawem”, Polski będącej „wzorem działania obywatelskiego na rzecz Unii Europejskiej”.

Polska z podwójnej perspektywy

W kategorii kultury kapituła nagrody wyróżniła Czesława Mozila, popularnego piosenkarza i kompozytora młodego pokolenia duńskiej Polonii. Artysta mieszka na stałe w Warszawie i w swoich utworach przedstawia Polskę widzianą z perspektywy podwójnego emigranta, żyjącego między Danią a Polską, kochającego absurd obu krajów i patrzącego na nie z humorem.

Polskojęzyczny minister

W kategorii dialogu polsko-niemieckiego nagrodę POLONICUS otrzymał Thorsten Klute, sekretarz stanu w Ministerstwie Pracy, Integracji i Spraw Socjalnych w Nadrenii Północnej – Westfalii. – Wzruszyłem się, gdy otrzymałem wiadomość, że zostałem laureatem tej nagrody, bo od ponad 20 lat zajmuję się Polską i fakt ten dużo

zmienił w moim życiu – przyznał landowy polityk, który mówi płynnie po polsku. W swoim wystąpieniu poinformował, że w Nadrenii Północnej – Westfalii (NRW) mieszka ponad 500 tys. osób polskiego pochodzenia i jego zdaniem warto o tym mówić i pokazywać, jak żyją. Podkreślił również, że warto wypełniać obowiązki traktatu polsko-niemieckiego oraz pracować nad tym, by dzieci Polaków mogły w Niemczech uczyć się polskiego. Bo dwujęzyczność „nie jest kulą u nogi, lecz skarbem”.

Międzynarodowa inicjatywa

W kategorii organizacji polonijnych POLONICUS przypadł Zbigniewowi Kossakowi von Główczewskiemu, prezesowi niemiecko-polskiego towarzystwa Polonica e.V. Organizuje ono od 24 lat Rock & Chanson Festiwal „Kolonia – Wrocław – Paryż”. W tym wielokulturowym wydarzeniu popierającym młode talenty i utrzymanym w idei Trójkąta Weimarskiego udział biorą młodzi artyści z Niemiec, Polski i Francji.

Legenda transformacji gospodarczej

Tegoroczną nagrodę honorową europejskiej Polonii za osiągnięcia w ekonomii przemian wolnorynkowych w Polsce oraz za szerzenie świadomości obywatelskiej w jednoczącej się Europie otrzymał wybitny ekonomista profesor Leszek Balcerowicz. Były wicepremier zaznaczył, że miejsce Polski jest na Zachodzie. W jego opinii zarówno pod względem ustrojowym jak i pod względem sojuszu Polska nie ma lepszych partnerów od NATO i Unii Europejskiej. W kontekście zbliżającego się jubileuszu 25-lecia niemiecko-polskiego traktatu o dobrosąsiedzkich stosunkach prof. Leszek Balcerowicz podkreślił, że „należy kontynuować na różnych poziomach proces budowy coraz lepszych stosunków z Niemcami. – Ważny jest dialog między Polską a Niemcami i myślę, że Polonia ma tutaj do odegrania ogromną rolę. Wasz głos powinien donośnie rozlegać się w Polsce, bo wy macie świadomość znaczenia tego głosu. I on będzie wysłuchany przez większość Polaków, ich zdecydowaną większość. Wasz głos będzie bardzo istotny – zapewnił wybitny ekonomista.

Laureatami poprzednich edycji nagrody POLONICUS w Akwizgranie byli m.in.: prof. Władysław Bartoszewski, prof. Jerzy Buzek, prof. Norman Davies, prof. Karl Dedecius, abp Alfons Nossol, Krystyna Janda, Andrzej Wajda oraz prof. Jan Miodek.



Laureat nagrody Polonicus 2016 prof. Leszek Balcerowicz

Opr. Alexandra Jarecka (DW.com)

Laudacja z okazji wręczenia nagrody POLONICUS 2016 Czesławowi Mozilowi

Szanowni Państwo!

Przypadł mi w udziale wielki zaszczyt, a równocześnie przyjemność, przedstawienia Państwu sylwetki Czesława Mozila, muzyka, lidera zespołu „Czesław Śpiewa”, przedstawiciela duńskiej Polonii.

Czesław Mozil zostanie nagrodzony nagrodą POLONICUS 2016 za wyjątkowy wkład w szerzenie kultury polskiej w Europie, oraz za radość „bycia Polakiem”!

Czesława znam od dziecka, tzn. kiedy on był dzieckiem, nie ja! W kościele św. Anny w Kopenhadze występował w różnych rolach w corocznych jasełkach. I już wtedy miał parcie na szkło!

Czesław przyjechał do Danii w wieku pięciu lat wraz z rodzicami i siostrą Irenką. Jest absolwentem Duńskiej Królewskiej Akademii Muzycznej.

Czesław śpiewa, ale nie tylko. Czesław komponuje. Czesław gra – głównie na akordeonie i innych instrumentach klawiszowych, ale też gra w filmach fabularnych i użycza swego głosu w filmach animowanych, np. bałwankowi Olafowi (*Kraina Lodu*), Wrzaskierowi (*Roman Barbarzyńca*). Niedługo udzieli głosu zajączkowi w filmie *Miś Uszatek*.

Czesław jest telewizyjnym celebrytą – był jurorem w polskiej wersji programu *X Factor* oraz opiekunem młodych talentów w programie *Mali Giganci*.

Czesław uprawia „stand-up”, co tłumaczy na polski jako „solo akt”. Czesław prowadzi audycje radiowe. Czesław jest uczestnikiem debat społecznych. Czesław ma sklepy z ubrankami dla dzieci *Czesiocich* oraz



Roman Śmigieński wręczył nagrodę Polonicus Czesławowi Mozilowi

restaurację na warszawskiej Pradze. Chyba łatwiej by było powiedzieć czego Czesław nie robi!

Karolina Korwin Piotrowska tak napisała o wydanej niedawno książce „*Nie tak łatwo być Czesławem*”: *To szczerza historia człowieka, który stał się testem na naszą tolerancję, na inność, dziwny akcent czy poglądy. Takich jak on będzie coraz więcej, czy nam się to podoba czy nie.*

Jego najnowsza płyta *Księga emigrantów. Tom I* to vademecum współczesnego tułacza popełnione przez kogoś, kto przez większość życia konsumował emigranczki chleb. Za tym chlebem podąża coraz więcej Polaków.

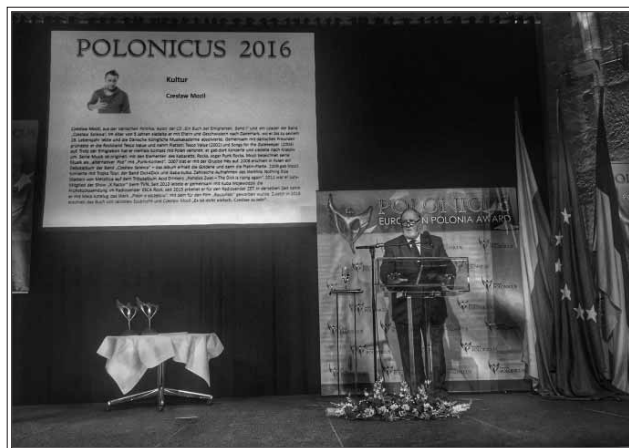
Wiwat parlament, premier i rząd / Niech wreszcie wszyscy wyjadą stąd – śpiewa Czesław w piosence *Milion na rok*, która bynajmniej nie jest komentarzem do jego zarobków, tylko liczbą Polaków wyjeżdżających z Polski. Polaków, którzy do Polski mają stosunek ambiwalentny – jednocześnie Polskę kochają i nienawidzą.

Piosenka o tym – *Nienawidzę cię, Polsko* – wywołała w Polsce, w niektórych kręgach, oburzenie, natomiast na emigracji spotkała się z pełnym zrozumieniem.

Z powodu użycia znaczka *Solidarności* w wideoklipie do tej piosenki Związek Zawodowy NSZZ „Solidarność” pozwał Czesława Mozila do sądu. Mogę poinformować, że to, co nie udało się bezpiece i komunie, udało się ostatnio Czesławowi. Wygrał z „Solidarnością”. Sąd Okręgowy w Krakowie uznał, że Czesław Mozil miał prawo użyć tego znaczka, gdyż został on wykorzystany jako symbol Polski.

Panie i Panowie – Czesław Mozil!

Roman Śmigieński



Roman Śmigieński wygłasza laudację na cześć Czesława Mozila

LUBIĘ MIESZANKI

wywiad z Czesławem Mozilem, który nie tylko śpiewa...

Spotykamy się po prawej stronie Wisły, na ulicy Żąbkowskiej, która uważana była za najbardziej niebezpieczną ulicę Warszawy, a dziś powoli staje się kultowym miejscem stolicy. Wchodzę do „Pausy Włoskiej” – restauracji, którą od niedawna Mozil prowadzi z przyjaciółmi. Zanim zdążyłam się rozejrzeć, podbiega do mnie w czarnym podkoszulku, spodniach dresowych adidasa i tego samego rodzaju butach sam Czesław. Wygląda jakby naprawdę się ucieszył, że przyszedłam na wywiad.

Po przeczytaniu książki, a może bardziej szczerzej biografii „Nie tak łatwo być Czesławem”, chciałam, żeby ten wywiad był prowokacyjno-emigrancki, czyli taki, jak postrzegany jest często w Polsce Czesław Mozil. Piszę go przecież głównie dla Polaków za granicą. Niestety, Polacy w Polsce często nie rozumieją, że szokujące stwierdzenia i zachowania Mozila to pozytywna prowokacja. Ale zanim będziemy się nawzajem prowokować, warto wyjaśnić, kim jest Czesław Mozil, który pomimo swoich obchodzonych właśnie w dniu wywiadu 37. urodzin, sprawia wrażenie jakby ciągle miał twórcze ADHD.

– „Zaczynamy ostro” ...Polak, Ślązak, Ukrainiec, Duńczyk...?

– Wszystko tak.

– Jeśli tak, to w tym wypadku na ile procent z każdego?

– Ślązaka najmniej, bo mieszkałem w Zabrze do 5 roku życia, Ukrainka po tacie też niezbyt dużo, chociaż bardzo cieszę się, że odkryłem niedawno swoją rodzinę we Lwowie. A Duńczyk, Polak – tak naprawdę nie wiem, czy ważne ile procentowo. Lubię mieszanki, bo jak krew się miesza, to wychodzą ładniejsze dzieci i ciekawszy ludzie. Spłodził mnie Ukrainiec, urodziła Polka, a więc w moich żyłach płynie krew obu tych narodów. Dania mnie wychowała, to taka moja macocha, czuję się z nią bardzo związany.

– Krakowiak, warszawiak czy mieszkaniec Kopenhagi?

– Byłem świetnie zintegrowanym Polakiem w Danii, teraz jestem szczęśliwym mieszkańcem, nowym obywatelem warszawskiej Pragi. Mieszkam tu od 8 lat i czuję, że tutaj jest po prostu moje miejsce i nie czuję się żadnym „słoiem”. Dzisiaj przeprowadzam się razem z moją dziewczyną do nowego mieszkania. Ono też jest na Pradze.

– Czesław – to imię (po dziadku), które młodym Polakom mocno kojarzy się ze starszą generacją powojenną?

– Tak, imię odziedziczyłem po dziadku – Czesławie Słani, który był inspektorem w kopalni uranu na Dolnym Śląsku. Nigdy się nad tym nie zastanawiałem, ale zawsze czułem, że moje imię jest wyjątkowe. Tak jak wracają do mody stare imiona, wiem, że teraz będzie rodzić się coraz więcej Czesławów...

– *Księgę Emigrantów* zdecydował się Pan wydać dopiero jak miał już ustabilizowaną pozycję artystyczną w Polsce?

– Trylogia *Księgi Emigrantów* zrodziła się w mojej głowie wiele lat temu. W 2007 roku



Czesław Mozil

trafiłem na zdjęcie, które było zrobione w Edynburgu i przedstawiało mur, na którym *tagiem* było napisane: „Nie wybaczę ci Polsko”. To zdjęcie zrobiła i umieściła na swoim blogu o emigracji Polka, która mieszkała w Irlandii. Ja to zdjęcie zobaczyłem, zanim jeszcze zamieszkałem w Polsce. Zadzwoiłem do Michała Zabłockiego i mówię: Michał musimy kiedyś zrobić *Księgę Emigrantów*. W zeszłym roku, jak już wydawaliśmy *Księgę* umieściłem to zdjęcie na facebooku. Szczerze mówiąc myślałem, że ten napis wykonał jakiś robotnik. I wtedy napisała do mnie dziewczyna, która studiowała na ASP w Edynburgu: nazywam się tak i tak; to ja namalowałam ten napis na murze. Pisała, że dalej mieszka za granicą, że wtedy czuła ogromny żal, teraz już się z Polską rozliczyła. Strasznie mocne. Od tamtej pory musiało upłynąć sporo czasu, zanim *Księga* urodziła się. Długo do niej dojrzywałem, bo to bardzo osobista spowiedź: Czesława – emigranta.

Jak już wydaliśmy płytę, w Europie wzmógł się niepokój związany z emigracją, imigracją, uchodźstwem i nagle płyta stała się tematem politycznym. Radiowa Trójka nie chciała zagrać nawet jednej piosenki. Dopiero teraz, powoli, płyta zaczyna żyć, bo włączam te piosenki do swoich koncertów. Przykro mi też było, że nie odbiła się echem wśród Polonii, a przecież każda z piosenek na niej powstała z inspiracji prawdziwymi wydarzeniami, jakie przeżyli Polacy za granicą.

– Czego się Pan boi w życiu, jeżeli nie bał się Pan oficjalnie przyznać: Nienawidzę Cię Polsko?

– To nie przyznanie się, tylko tytuł piosenki, która mówi o tęsknocie do kraju, o żalu i o poszukiwaniu swoich korzeni, ale na moje nieszczęście została odebrana bardzo opacznie. Ludzie myśleli, że naśmiewam się z kraju i z rodaków. Było mi bardzo przykro. Gdybym wtedy wiedział, że jej tytuł tak bardzo niektórych urazi, zmieniłbym go. W Polsce jest takie powiedzenie: „nie oceniam książki po okładce”. Reakcja Polaków była dla mnie zaskoczeniem, bo wtedy naiwnie wie-



rzyłem, że na pierwszy plan wysunie się przekaz, a nie tytuł.

Właśnie wygrałem sprawę z powództwa „Solidarności” o nieupoważnione użycie ich „znaczka” w teledysku do piosenki *Nienawidzę Cię Polsko* i musiałem mówić podczas rozprawy: „Wysoki Sądzie, abstrakcją jest mówienie, że ja nie kocham Polski. Jeżeli ktoś nie ma 50 sekund, żeby posłuchać tego, co jest powiedziane w tej piosence, tylko zwraca uwagę na jej tytuł, to nie powinien wydawać opinii o niej. Chyba to jest normalne, że kiedy się kogoś kocha, to też się z tą miłością szarpie”. Kocham Polskę, ale miłość jest uczuciem bardzo złożonym i nie ma tylko pozytywnych konotacji.

Ostatnio zauważyłem, że mam lepszy dzień, gdy nie słucham wiadomości. Ale też staram się zrozumieć ludzi, którzy boją się wszystkiego obcego, bo tego nie znają. A teraz trzeba nauczyć się budować wspólną przyszłość, bo ona – czy chcemy tego, czy nie – taką właśnie będzie. Amerykański komik Louis C.K. ma zwyczaj mawiać: „jeżeli boisz się, że ktoś obcy przyjdzie i bez kontaktów, bez pieniędzy ukradnie ci twoją pracę, twoją kobietę, twoje poczucie narodowości, to znaczy, że boisz się, że twoje życie jest dość cienkie i słabe”.

– **Jaka jest różnica w odbiorze Pańskich koncertów w Polsce i za granicą?**

– W Polsce ludzie odbierają *Księgę Emigrantów* coraz bardziej świadomie, coraz lepiej ją rozumieją i akceptują. Natomiast dziwi mnie, że po jej ukazaniu się, wielu Polaków w Anglii było zdania, że obrażam naszych krajan mieszkających za granicą. W czasie koncertów dla Polonii obserwuję skrajne reakcje: jedni śmieją się, a drudzy – w tym samym czasie – płaczą.

– **Sen emigranta – o czym śnił i śni Czesław Mozil?**

– Raczej nie miałem typowych „snów emigranta”. W ogóle mało śnię, ale przyznam, że ostatnio śpiam bardzo dobrze, bo jestem w stałym związku. Nie spodziewałem się, że stabilizacja emocjonalna ma tak dobry wpływ na twórczość. Zawsze żyłem tu i teraz, starałem się wziąć to, co najlepsze z Danii i z Polski i zmiksować to w moim świecie. Dziś akurat (12 kwietnia) kończę 37 lat i dobrze mi z tym, bo czuję, że dojrzewam: hołduję innym wartościom, zmieniłem też priorytety. Do tej pory byłem gówniarzem, a teraz zmadrzeję chyba i jeżeli starzenie się polega na takim dojrzewaniu – to jest super.

– **A dlaczego ciągle i wszędzie się Pan tłumaczy, że jest Polakiem?**

– Dlatego, że są ludzie w naszym kraju, którzy uważają się za lepszych Polaków i mają patent na polskość. Często podważa się moją polskość ze względu na akcent i błędy stylistyczne. Dziennikarze – tak jak Pani – ciągle pytają mnie kim jestem: Polakiem, Duńczykiem, czy Ukraińcem? I w ilu procentach? Niektórzy z nich twierdzą, że nie jestem prawdziwym Polakiem, bo wychowałem się w Danii i gdy mówię, popełniam błędy. Mam koleżankę Polkę, której ojciec jest Nigeryjczykiem. Urodziła się w Polsce i całe życie tu mieszka, ale ..jest Mulatką. Nie ma dnia, żeby ktoś jej nie zapytał: „Gdzie pani tak dobrze nauczyła się mówić po polsku?” Trzeba ciągle podkreślać, że można czuć się „trochę innym”, ale Polakiem.

– **Ma Pan przyjaciół muzułmanów?**

– To jest pytanie typu: „A czy znasz geja?” Oczywiście, większość moich kolegów w Danii to byli muzułmanie. Wychowałem się z dziećmi, które – jak ja – były emigrantami w Danii. Pochodzili z różnych stron świata, miały różny kolor skóry i różne nawyki. Część wierzyła w Boga, część w Allaha, ale chodziliśmy do tej samej szkoły, kopaliśmy piłkę i psociliśmy. Nasi rodzice znali się i lubili. Do dzisiaj mam kontakt z kilkorgiem z nich. Mówią świetnie po duńsku – tak samo jak ja, chociaż – ze względu na kolor skóry – byli traktowani gorzej niż ja.

Czasami muszę się publicznie tłumaczyć ze swojej wiary i to tylko dlatego, że wśród moich przyjaciół są ateści. W ogóle te wszystkie pytania o seksualność, religię, korzenie są dziwne, bo sądzę, że najważniejsze jest to, żebyśmy pomimo tych różnic starali się żyć jak najlepiej ze sobą.

– **Czesław Mozil – piosenkarz, muzyk grający na akordeonie, aktor, a może i performer, który wszystko miesza – tak, jak lubi?**

– Kiedy miałem 8 lat, moja mama uznała, że dobrze byłoby, abym miał jakieś hobby, a że niedaleko naszego domu była szkoła muzyczna, zapisała mnie na lekcje gry na pianinie. Uwielbiałem tam chodzić, ale ona złościła się, że mało ćwiczę. Któregoś dnia zapytała mnie, po co tam chodzę, skoro nie chcę grać. Odpowiedziałem, że kocham tych ludzi i artystyczny ferment, który sięją wokół. Tak już zostało. Głód tworzenia wyznacza mi kierunek działania: raz to jest dubbing, innym razem film, a jeszcze innym – teatr. Kiedy napisałem *Spowiedź Emigranta* – mieszanek piosenek i autobiograficznych monologów – wysłałem mail do Pani Krystyny Jandy. Czulem, że ten spektakl, który stworzyłem, powinien być wystawiany w teatrze. Po 15 minutach Pani Krystyna odpisała mi, umówiliśmy się na spotkanie, no i teraz gram moją *Spowiedź Emigranta* w warszawskim Och Teatrze. Niestety, dla niektórych stałem się „panem z telewizji” i straciłem status artysty. Istnieje taki snobizm kulturalny w Polsce, że jak mówią o tobie w plotkarskich gazetach, to już nie możesz robić wartościowych rzeczy, bo to się – rzekomo – wyklucza. Czasem jednak myślę, że jestem gorszym aktorem niż w rzeczywistości, ale gram same-

go siebie, więc „jakoś to idzie”. Dzięki temu, że jestem muzykiem, mam szansę zagrać w filmie albo, na przykład, dubbingować takiego bałwanka Olafa... Jednak ciągle pozostaję muzykiem.

– **Idąc na ten wywiad chciałam sprawdzić, na ile Pan siebie inscenizuje, i na ile jest Pan sobą?**

– Nigdy nie zdawałem do szkoły aktorskiej i zawsze jestem po prostu sobą. To najłatwiejsze, bo nie muszę niczego udawać.

– **Zeby być artystą, trzeba mieć wyczuloną wrażliwość, a z drugiej strony – odporność na krytykę z zewnątrz. Jak daje sobie Pan radę z – delikatnie mówiąc – „bezkompromisowymi” hejtami?**

– Nauczyłem się tego trzy lata temu, kiedy jakiś człowiek napisał w komentarzu pod jedną z moich piosenek: „Ty, durniu. ja bym Cię zap... siekierą za to, co śpiewasz”. Zrobiłem screen tej wypowiedzi i przesłałem ją do wszystkich jego znajomych na Facebooku z pytaniem, czy ktoś chciałby z nim porozmawiać na ten temat. Dwa dni później zadzwonił do mnie i przeprosił. Przy tym ewidentnie słycać, że ktoś przy nim stoi, może jego kobieta? Tłumaczył mi, że miał trudny okres, był załamany, że pozwolił sobie na coś takiego. Odpowiedziałem mu, że możemy licytować się, kto z nas miał trudniejsze okresy. Zrozumiałem wtedy, że takie zachowania często wypływają z kompleksów, że to wewnętrzna sprawa tych ludzi i dlatego takie hejty muszą być poza mną.

– **Jak się Pan czuje w Danii?**

– Jak u siebie. To takie maluteńkie państwo, w którym czuję się w domu, jestem dobrze zintegrowanym Polakiem i nikt mnie nie rozpoznaje na ulicy. Poza Polakami.

– **Dostaje Pan Nagrodę POLONICUSA w Niemczech? Koncertował Pan już dla Polonii niemieckiej?**

– Koncertowałem w Niemczech i to były bardzo miłe koncerty. Nie ma znaczenia, czy przyszło na nie 15 czy 250 osób. Kilka razy grałem też w *Klubie Polskich Nieudaczników* w Berlinie.

A tę prestiżową nagrodę dostałem „za wkład w szerzenie kultury polskiej w Europie, oraz za radość „bycia Polakiem”. To ważne wyróżnienie przyznali mi Polacy mieszkający za granicą. To bardzo nobilitująca nagroda. Wielu dziennikarzy w Polsce gratulowało mi nagrody, prywatnie bardzo się cieszę, że dostaję ją od Polaków za granicą.

– **Lubi Pan być Polakiem?**

– Mam dwa obywatelstwa, dwa paszporty, ale jeśli ktoś pyta, kim się czuję, to zawsze odpowiem tak samo: Polakiem. Jeżeli ja jestem Polakiem, to znaczy, że Polska bardzo potrzebuje takich Polaków, jak ja. Chciałbym być w Polsce tą kropelką, która coś zmienia. Marzę, żeby na moim grobie było napisane: Czesław Mozil nauczył Polaków przyznawania się do swoich błędów... W tym tkwi siła, żeby wiedzieć, czego nie potrafię.

– **Nie tak łatwo być Czesławem to Pana autobiografia, napisana wspólnie z Jackiem Szubrychtem. Jak była odebrana ta historia stricte emigracyjna?**

Największą radość mi sprawiło, że starsze pokolenie Polaków na emigracji chętnie ją kupuje i przyznało, że

czytając ją, lepiej rozumie swoje polskie dzieci, urodzone za granicą.

– **To poproszę o autograf dla moich dzieci, urodzonych w Niemczech. Kiedy przygotowując się do tego wywiadu czytałam ją, od razu wiedziałam, że oni będą się identyfikować z historią Pana życia.**

Ale żeby zakończyć ładnie ten wywiad – co dalej z karierą Czesława, który śpiewa?

– Zakończyliśmy pracę nad *Księgą Emigrantów Tom II*. Na tej płycie towarzyszy nam orkiestra barokowa *Arte dei Suonatori*, której ostatni krążek jest nominowany do tegorocznych Fryderyków. Chciałbym, żeby *Księga Emigrantów* była takim komunikatorem Polaków w kraju i na emigracji. A z „najnowszych nowości” – na jesieni pojawi się ścieżka dźwiękowa do filmu, do którego zdjęcia właśnie zakończyliśmy. Poza tym otwieram też ...Szkolę Uwodzenia w Świnoujściu – na razie tylko w filmie, o którym jeszcze niewiele wolno mi dziś powiedzieć.

Dziękuję za tę rozmowę, widać, że Pani prowadziła ją jak Polka mieszkająca za granicą.

P.S.

Czy mogę zostawić kilka błędów językowych w tym wywiadzie? W realizowanych przeze mnie filmach o polskiej młodzieży, urodzonej za granicą, zostawiam zawsze kilka, żeby uświadomić Polakom w Polsce, jaka to ciężka praca dorastać i mówić poprawnie w dwóch językach jednocześnie.

Nie wiem, czy na to zgodzi się moja dziewczyna. Poszła specjalnie na retorykę, żeby przy mnie nie zatracić ładnej polszczyzny i korygować moje wywiady. Na początku, kiedy przyjechałem 8 lat temu, nie rozumiałem, dlaczego w Polsce wytykano mi błędy językowe. Kiedy jeździłem na obozy harcerskie, gdzie spotykaliśmy się z dziećmi polskimi z całego świata, najważniejsze było, że wszyscy porozumiewaliśmy się po polsku i nie miało znaczenia, czy robiliśmy błędy. Czasami nawet Polonia krytykuje mój obcy akcent. Na koncercie w Wielkiej Brytanii powiedziałem: „*Rozumiem, że państwa dzieci uczą się teraz od państwa pięknej polszczyzny i za kilka lat, kiedy pojedą do dziadków, to nie będą wyśmiewane za angielski akcent w czasie zabawy na podwórku*”. Wtedy zapadła kompletna cisza... I w związku z tym „zarówno w Polsce, jak i za granicą” my, Polacy, powinniśmy nauczyć się „umienia przyznawania się do błędów”.

**Rozmawiała
Agata Lewandowski**



DROP DOG DEN PROVINSIELLE PARANOIA OVER FOR POLAKKER

Polakkerne er et stolt og åbent europæisk folk

Man tror, man skal se triste betonbyggerier – man ser en farverig kulturby. Man tror, man skal møde fattige mennesker – man møder verdensborgere.

For fire år siden klikkede jeg på en engelsksproget annonce på jobnet.dk, der lovede professionel udvikling, gode arbejdsfold og en spændende oplevelse i udlandet. Jeg sendte min standardiserede cv/ansøgning, og før jeg kunne nå at sige "pierogi", var jeg på vej ind i flyveren til en by i Polen, som jeg ikke kunne udtale eller finde på europakortet. Med i bagagen havde jeg min danske opvækst og et par mislykkede forsøg på at gennemføre en videregående uddannelse.

Min første dag i byen Lodz var en skræmmende oplevelse. Min danske intuition sagde mig, at jeg skulle passe på og være på konstant vagt. Jeg var trods alt blandt mennesker, der hjemme i Danmark begår hjemmøverier, tricktyverier og andre kriminelle handlinger. De danske mediers årelange påvirkning havde gjort mig så paranoid, at jeg var klar til at rejse tilbage efter to dage, da jeg var sikker på, at adskillige vagabonder fulgte efter mig på gaden. Det lykkedes mig også at fare vild i mit paranoide forsøg på at ryste en mulig forfølger af. Det værste af det hele er nok, at jeg selv er fra en østeuropæisk familie fra Serbien, der er udvandret til Danmark.

Men jeg troede, at vores velintegrerede og tamme opførsel var en undtagelse. Vi fik gentagne gange at vide, at "vi ikke er som de andre udlændinge", og at "vi var gode nok". De opmuntrende bemærkninger fra

vores danske venner og kolleger varmer virkelig enhver indvandrerfamilies hjerter.

Min første arbejdsdag i Polen var et stort kulturchok, eftersom jeg blev mødt af glade, åbne mennesker, der ud over deres fordomsfrie tilgang til fremmede faktisk var interessante og veluddannede. De var bedre klædte, bedre uddannede og mere berejste end nogen andre i min danske omgangskreds.

Min første oplevelse af menneskene og af byen Łódź kom, da jeg efter nogle dage i Polen blev inviteret til "Lysets Festival" af mine nye kollegaer. Vi bevægede os gennem smalle passager og de mange udendørs cafeer på *Piotrkowska*-gaden og kunne kigge på den ene bygning efter den anden.

Mine kolleger var en broget skare. Den ene var kunstner, den anden veganer og den tredje hipsterfeminist. De var dog alle kosmopolitter, der havde rejst og arbejdet i adskillige europæiske lande, og var nu vendt tilbage til Polen, som bød på en masse velbetalte job i internationale koncerner. De tog pænt imod mig og hjalp mig med at finde rundt i det nye land. I kraft af deres åbenhed mod fremmede og deres internationale erfaringer havde de en overraskende dyb og nuanceret forståelse af den verden, vi bor i. Jeg nød deres selskab, de stimulerende samtaler og det fremragende polske øl.

I løbet af mine tre år i Polen har jeg lært, at sådanne mennesker var mere reglen end undtagelsen blandt den unge polske befolkning. Jeg har mødt så meget positiv energi og så mange spændende mennesker i Polen, som jeg med garanti ikke ville møde i en livstid i det midtjyske.

Den polske kultur, bylivet og en utrolig åbenhed mod andre kulturer står i stærk kontrast til portrættet, der nu bliver malet af polakker som jordbærplukkende græshopper, hvis eneste mål er at suge liv og penge ud af det danske velfærdssamfund. Jeg står i dag med en fortvivlende følelse af uretfærdighed, som er virkelig hård at sluge. En følelse af at leve i et provinsielt samfund, der er ligeglad med kolde økonomiske fakta og blind for den europæiske virkelighed.

En virkelighed, hvor polakkerne er et stolt europæisk folk, der er åbent for kulturudveksling og ikke lever i en småborgerlig, narcissistisk velfærdsboble.

Milos Lecic



TRE GANGE POLEN

Det er altid spændende at besøge et land, man ikke har set før. Jeg havde lejlighed til at besøge Polen – endda tre gange i løbet af få uger. Først en tur til Warszawa for at aflevere en dokumentsamling som gave til universitetsbiblioteket, dernæst som deltager i en krydstogtsrejse, der bl.a. gik til Gdynia, Sopot og Gdansk og endelig en tur til Krakow og Katowice, hvor jeg holdt en forelæsning på universitetets medicinske fakultet.

Det første indtryk, jeg fik, var en udpræget venlighed og hjælpsomhed hos befolkningen. Som bekendt får man ikke små penge i fremmed mønt, når man køber valuta i en dansk bank – der udleveres kun sedler. Så der stod jeg i Warszawa lufthavn og skulle bruge mønter til busbilletten. Den flinke buschauffør kendte problemet – jeg var ikke den første i den situation. Han spurgte flere andre medborgere i bussen om de kunne veksle, da han ikke selv kunne. Flere tilbød omgående hjælp og jeg fik mønter nok.

Den næste behagelige overraskelse var den effektive trafikdisciplin, der herskede og som jeg først mærkede i Warszawa. Fodgængere respekteres højt af bilister, der gerne stopper i meget god afstand fra fodgængerovergange, når de ser en gående, der vil krydse gaden. Måske det i Polen bringer særdeles meget uheld at påkøre en fodgænger! Den samme høje trafikdisciplin kunne iagttages i de andre polske byer, jeg besøgte.

Et andet behageligt forhold var den effektive hjælpsomhed, jeg mødte. Der vises i de fleste fremmede lande en udlænding venlighed – dog mest i mundtlig form. Man giver gerne oplysning om, hvorledes man kommer til bestemte steder – men jeg oplevede mere end venlighed i ord – nemlig en venlighed i gerning. På et rejsebureau spurgte jeg efter en bestemt busterminal, da der åbenbart var flere af dem. Ikke blot fortalte man mig vejen dertil – den pågældende ekspedient gik med ud på gaden og udpegede retningen og blev stående til han så, at jeg var på rette vej. Ved en anden lejlighed kunne man åbenbart udelukkende polsk – hvad jeg beklager ikke at kunne – og med håndtegn bad man mig ind i et kontor, hvor man så ringede til en foresat myndighed og fik forbindelse til en engelsk talende, der venligt gav mig den ønskede oplysning.

Selve Warszawa byen fandt jeg spændende. Den mindede meget om New York med sine skyskrabere og glaspaladser – men havde langt bredere gader. Sakserhaven med militærmonumentet finder jeg smuk og det imponerende genopbyggede kongeslot (der som krigsruin ikke var mere end 2 meter højt) var en oplevelse at besøge.

På krydstogtrejse i den botniske bugt kort tid efter mit Warszawa besøg var der mulighed for et dagsophold i Gdynia, Sopot og Gdansk. Et højdepunkt var besøget på Marienburg, der i sin imponerende væld er flot

genopbygget. I det hele taget er det utroligt så meget af kulturmæssig værdi, der er genopbygget, når man tænker på, at der sandelig også skulle bygges mange huse til befolkningen.

Kort tid efter tog jeg til Krakow for at se denne kulturrige by. Den stor turisttilstrømning hertil betyder, at man overalt kan gøre sig forståelig på engelsk eller tysk. Det meget gamle Jagiellonski Universitet med minder om Nikolaus Kopernikus er naturligvis et must. Der findes en kopi af manuskriptet til hans berømte værk: *De revolutionibus orbium coelestium*, udgivet i bogform 1543. Dette værk satte skred i menneskets astronomiske indsigt, forenkledede verdensopfattelsen og gav grundlag



De Revolutionibus Orbium Coelestium, l'oeuvre majeure de Copernic...

for fysikkens udvikling via Kepler, Tycho Brahe, Galilei og Newton.

Interessant er det at opleve det berømte afbrudte hornsignal fra Mariakirken på markedspladsen og at spise frokost i den urgamle restaurant Wierzynek, hvor den danske konge Valdemar Atterdag spiste i 1364!

Slottet Wawel er bestemt et besøg værd. Man kan tilbringe timevis i den flotte slotshave med kafferestaurant og et væld af blomster. Selve slottet er spændende med guld- og sølvskatte og en interessant våbensamling fra middelalderen.

Som noget særligt interessant kan nævnes et besøg i saltminderne i Wieliczka i nærheden af Krakow. Via hotellet bestiller og betaler man en guidet tur dertil. Til aftalt tid bliver man afhentet af en taxa og kørt til en bus, der bringer en til minekomplekset, der kun kan karakteriseres som enormt. Besøgsturen går ad en trappe omkring 80 meter ned under jorden og der åbner der sig et vældigt kompleks af gange, mineskakte og saltsøer. Visse steder er gruberne omkring 60 meter

høje og der findes en kirke, restauranter og butikker dernede.

Fra Krakow tog jeg turen til Katowice, hvor jeg skulle forelæse. Byen Katowice er lidt anderledes end Krakow. Man er ikke indstillet på turister. Mit hotel lå ved en kæmpe cementeskål, der var en sportscenter. Mange små sporvogne, der kom i hastig rækkefølge, snoede sig gennem byen. Et sjovt element var fodgængerovergangene, hvor lydsignalerne, der angav, at der var grønt lys for fodgængere var forskellige – nemlig som morsetegn. Ved en overgang et F (.-.) ved en anden et L (.-.), ved en tredje et V (...-)! På den tid, jeg var der, var der et ”jarmark” med salgsboder, øltelt, pølsebod og gratis karrusel for børn. Byens eneste mangel var, at det var umuligt at finde en postkasse. At finde frem til fakultetet hvor jeg skulle hen, var lidt vanskeligt, men en forbipasserende afbrød sin spadseretur og fulgte mig hen til døren – endnu et fint eksempel på den praktiske polske høflighed.

af cand.polyt. O. Norgaard



Den polske ørn kan ikke stækkes

Polsk Forening i Maribo er som den sidste på Lolland-Falster nedlagt og Det polske Hus forladt. Den polske ørn er taget ned fra husets facade, men er fløjet videre til Museum Polakkasernen.

Kunne huset tale, kunne det berette om mange skæbner, om nederlag og sejre, om polsk hjemvé, om flid, arbejdsomhed og stolthed gennem 90 år. Det kunne fortælle om sammenkomster, udstillinger og fester og om fremmede som fandt fodfæste i et nyt land.

Den æra er slut. Polsk Forening i Maribo er ikke mere. Som den sidste af foreningerne på Lolland-Falster har den indstillet sit virke. Men foreningen sluttede sin æra med værdighed ved at slette sporene af fordums tids rige foreningsliv i Det Polske Hus – ved at fjerne den polske ørn fra husets facade.

Huset blev i 1936 købt af herboende polakker på særlige aktiebrev. Efter at huset i mange år var ejet og drevet af Polsk Forening, blev det for nogle år siden overdraget til Maribo Kommune og Lolland Kommune skulle løfte arven. Husets tilstand fortæller så udmærket historien om, hvordan den arv blev forvaltet – eller rettere ikke forvaltet.

– *Misligholdelsen har gennem flere år været en hån mod foreningen og en hån mod Maribos borgere. Også det har været medvirkende til, at Polsk Forening har trukket*

stikket, sagde formanden for Museum Polakkasernen, redaktør Torsten Elsvor.

– *Nok et stykke lokal kulturhistorie forsvinder, men den polske ørn kan ikke stækkes. Den vil finde plads i Museum Polakkasernen, hvor vi også vil videreføre og*



Jan Czajkowski Jørgensen fjerner den polske ørn fra Det Polske Hus' facade.

vise lidt af den ånd, som har hersket i de polske foreninger på Lolland-Falster. Det er vores håb at museet fremover er det naturlige samlingssted for alle med interesse for polsk-dansk kultur og historie, sagde Torsten Elsvor. Han takkede for mange hyggelige kulturelle oplevelser, sammenkomster og generalforsamlinger i Det polske

Hus, og takkede ikke mindst Polsk Forenings mange arbejdssomme bestyrelsesmedlemmer, som har tegnet foreningen gennem årene. Også museumsinspektør Lene Tønder Buur fra Museum Lolland-Falster og pastor emeritus Bent Christensen beklagede i taler foreningens uundgåelige ophør og husets skæbne.



Et punktum i historien om de polske roepolakker

Polsk Forening i Maribo nåede akkurat at markere foreningens 90 års stiftelsesdag, men nu er en epoke slut

13. maj 2016 blev der sat nok et punktum i historien om de polske roepolakker på Lolland-Falster. Med Polsk Forenings ophør i Maribo har den sidste polske og polsk-danske forening på Lolland-Falster kastet håndklædet i ringen, og foreningsophøret betyder også et farvel til den sidste polske forening og det sidste Polske Hus i landsdelen.

Foreningsophøret og det definitive farvel til Det Polske Hus blev markeret ved en lille reception, hvor skiltet med den polske ørn blev fjernet fra husets facade. Forinden var foreningens historiske inventar sikret og en del af det overgivet til Museum Polakkasernen i Tågerup.

Foreningens sidste fungerende formand, Jan Czajkowski Jørgensen, der er 3. generations roepolak, benyttede lejligheden til et historisk rids som tog sin begyndelse i 1872, da den nye afgrøde – sukkerroer – blev indført i dansk landbrug.

I 1890'erne tog dyrkningen et sådant omfang, at det var nødvendigt at importere arbejdskraft først fra Sverige og siden fra Polen. Det var fortrinsvis piger, og i mange år var de ansat under nærmest slavelignende forhold, men arbejdsvilkårene blev heldigvis forbedret. Fra 1893 og frem til 1929 kun afbrudt af første verdenskrig omfattede denne import af sæsonvandrere cirka 92.000 personer. 4.000 valgte frivilligt eller ufrivilligt på grund af krigen at blive i Danmark og cirka 1.500 blev på Lolland-Falster, og der står stadig stor respekt om disse roepolakker og efterfølgende generationer.

Med sig havde de deres sprog, kultur og ikke mindst deres katolske tro, men de havde også behov for at møde i socialt og kulturelt samvær, og det var baggrunden for stiftelsen af Polsk Forening i blandt andet Maribo.

Foreningen blev oprettet med det formål, at fremme og opretholde kulturelle og historiske venskabelige forbindelser mellem Polen og Danmark, ved gennem sin virksomhed, at holde møder, festligholde polske nationaldage og oprette polske skoler, spejdergrupper og ungdomsforeninger. Tillige arrangere rejser til Polen og sende deres børn på sommerskoler i Polen, sagde Jan Czajkowski Jørgensen.

Den tydeligste manifestation på det polske foreningsliv var erhvervelsen af egne foreningshuse. Huset i Maribo er opført i 1901 og blev i 1936 købt af Polsk Forening, men i 1988 måtte foreningen afstå huset til den daværende Maribo Kommune af økonomiske årsager. Senere overtog Lolland Kommune ansvaret for vedligeholdelse og drift, men det har været så som så med viljen til at værne om huset, og det har også været medvirkende til foreningsophøret.



Jan Czajkowski Jørgensen

NIE MA SIĘ NA CO CIESZYĆ – NOWY SEZON OPEROWY W KOPENHADZE

W końcu kwietnia opublikowano – z wyraźnym opóźnieniem – plan przyszłego sezonu opery w Kopenhadze. Już z góry wiadomo było, że opera, po wprowadzeniu nowej rundy oszczędnościowej, nie będzie mogła realizować bardziej ambitnych zamierzeń. Zaprezentowany jednak plan repertuarowy przeszedł wszelkie pod tym względem oczekiwania, może nie tylko dlatego, że jest ubogi w nowe produkcje, ale głównie dlatego, że nie są to produkcje, których publiczność, czy też prasa, oczekiwała.

Sześć premier proponuje się w sezonie 2016–17, dwie z nich można nazwać ciekawymi: Purcell’a *The Fairy Queen* i Jake Heggie’a *Dead Man Walking*. Ta pierwsza, ponieważ prezentuje rzadko tutaj wystawiane opery barokowe; ta druga, ponieważ jest to nowa amerykańska opera (prapremiera odbyła się w roku 2000) i jako taka nie była ona jeszcze w Kopenhadze wystawiana. Opera Purcella wystawiona zostaje dzięki specjalnej dotacji fundacji Augustinus. Weźmie w niej udział trzech importowanych kontratenorów, a akompaniować będzie wybitny zespół barokowy *Concerto Copenhagen*.

Inne premiery to starzy znajomi, nie tak dawno goszczący na kopenhaskiej scenie, tyle że w innej inscenizacji: *Cyganeria* Pucciniego, *Opowieści Hoffmanna* Offenbacha, *Podróż do Reims* Rossiniego i *Mahagonny* Weilla.

Do tego dodać należy dwie re-premiery: *Holender tułacz* Wagnera i *Macbeth* Verdiego. Oba przedstawienia raczej wątpliwe pod względem inscenizacji, lecz prezentujące wybitnych wokalistów. W Wagnerze wystąpią Duńczycy: baryton Johan Reuter, robiący w tej chwili zawrotną karierę na zagranicznych scenach, oraz – równie rozchwytywana – Ann Petersen. W operze Verdiego w rolach głównych wystąpią goście: Dario Solari i Katrin Kapplusch.

Opowieści Hoffmanna to ko-produkcja ze scenami w Bregenz i Kolonii. Niestety, w reżyserii Norwega Stefana Herheima, który – nie wiadomo dlaczego – został okrzyknięty „genialnym”. Będzie to jego czwarta opera na kopenhaskiej scenie, po *Lulu*, *Nieszporach sycylijskich* i *Salome*. Jedynie *Nieszpory sycylijskie* podobały mi się w jego wydaniu. *Salome* natomiast, grana obecnie,

to jedno wielkie nieporozumienie i gwałt zadany dziełu Straussa.

Po opublikowaniu programu następnego sezonu rozmawiałam z szefem sceny operowej, Svenem Müllerem. Müller jest Niemcem, w operze kopenhaskiej pracuje od wielu lat, pod poprzednimi kierownikami zajmował niższe, administracyjne stanowisko. Duńska prasa oskarża go o brak wizji artystycznej i o „chowanie się w cieniu”. Wypowiada się rzadko i w zasadzie rzadko mówi coś nowego. Pytałam się go, dlaczego permanentnie brak na kopenhaskiej scenie repertuaru słowiańskiego (nie licząc premiery *Diablów z Loudon*, przeprowadzonej z woli krótko tu goszczącego Kieth’ Warrena). Müller odpowiedział, że na operę słowiańską po prostu nie ma miejsca. Jest tyle innych zobowiązań: zbudowanie podwalin klasycznego repertuaru, który można by było grać sezon po sezonie, prezentacja oper współczesnych, oper duńskiejżyczych, dbanie o wychowanie młodego widza, obowiązek grania w innych duńskich miastach niż Kopenhaga.

Spytałam się, dlaczego np. nie myśli się o sprowadzeniu londyńskiego przedstawienia *Króla Rogera* w reżyserii byłego szefa kopenhaskiej sceny, Kaspera Holtena. *Jest to zbyt drogie przedstawienie* – odpowiedział Müller – *poza tym Szymanowski to peryferia repertuaru operowego*. Powiedział to nie bacząc na fakt, że właśnie *Król Roger* odnosi sukcesy na wielu europejskich scenach.

Ale to nie tylko braki repertuarowe świadczą o nieobecności muzyki środkowej i wschodniej Europy. W Kopenhadze nie goszczą żadni polscy, ukraińscy, czy rosyjscy śpiewacy, nie mówiąc o dyrygentach. Leżące po drugiej stronie cieśniny szwedzkie miasto Malmö prowadzi zupełnie inną politykę. W tamtejszej operze zaangażowano kilku bardzo dobrych śpiewaków z Ukrainy (nie mówiąc o muzykach) i jest to teraz bardzo atrakcyjna scena operowa.

Podsumowując można powiedzieć, że dla władz opery w Kopenhadze żelazna kurtyna dzieli wciąż jeszcze Europę na „Wschód i Zachód” – przy czym Wschód uważa się nie tyle za niedostępny, co za nieciekawą.

Eva Maria Jensen

Same znaki zapytania – *Lohengrin* w Kopenhadze

Jedna z genialnych bajek Hansa Christiana Andersena traktuje o sile plotki. Z historii o kurze, która zgubiła przypadkowo dwa piórka, powstaje – w wyniku powtarzania – mroząca krew w żyłach przypowieść o pięciu kurach zadziobanych przez zazdrosne rywalki.

Trochę odwrotnie ma się sprawa z inscenizacją *Lohengrina* w Kopenhadze (przedstawienie miało premierę na wiosnę tego roku). Tutaj łabędź – skądinąd okazały ptak, zredukowany zostaje do paru piór. Zgadzam się z opinią tych, którzy uważają, że łabędź, najważniejszy może symbol tej opery, jest trudny do zgrzyżenia dla współczesnego widza. Na dodatek okazuje się zaczarowanym bratem bohaterki, Elsy. Lohengrin, tajemniczy (i anonimowy) rycerz broniący oskarżonej o bratobójstwo Elsy, zarówno przybywa, jak i odjeżdża na łodzi ciągniętej przez łabędzia (w finale zamienionego na białą gołębicę).

Słyszałam, że podczas pewnego przedstawienia łabędź „odpłynął” zbyt wcześnie, zanim bohater zdążył wsiąść na łódź. Skonsternowany Lohengrin zaimprovizował wówczas frazę: „Kiedy odpływa następny łabędź?”, by zwrócić uwagę pracowników za sceną. Zdaję więc sobie sprawę z tego, że współczesny reżyser chętnie zrezygnowałby z łabędzia, który – niestety – jest trudny do zignorowania, jako że wiele osób o nim śpiewa.

W kopenhaskim przedstawieniu młoda niemiecka reżyserka, Nicola Raab, wybiera jednak niebezpieczne rozwiązanie, wprowadzając zamiast łabędzia – zarówno do scenografii, jak i do akcji scenicznej – gigantyczne łabędzie pióra, mające symbolizować wolność, fantazję, a może i inny, lepszy świat. Akcja zostaje umiejscowiona w brudnym betonowym bunkrze, którego tylna ściana od czasu do czasu otwiera się, ukazując niebieskawą przestrzeń zdobną gigantycznymi piórami. Sfera fantazji i lepszego świata pojawia się więc w operze zawsze z towarzyszeniem tych piór.

Niestety, na tym się nie kończy. Lohengrin zamiast mieczem walczy ze swymi przeciwnikami używając właśnie pióra, tym razem normalnych rozmiarów, co wywołuje



Lohengrin (Burhard Fritz) walczy przy pomocy pióra z Freidrichem von Telramundem (Jukka Rasilainen).

Foto: Mats Bäcker

je na widowni chichot, jako że sam Lohengrin – w którego wcielił się Niemiec Burhard Fritz – był raczej przyciężkawy, na dodatek jeszcze ubrany w pomiętą koszulę nocną. Lohengrin walczył tym piórem nie raz, a wiele razy. Nawet dyrygent (Aleksander Vedernikov) przejął się symboliką inscenizacji, bo dyrygował za pomocą wielkiego pióra.

Jak już jesteśmy przy kostiumach, to w tej dziedzinie panował zupełny brak logiki. Część wojaków ubrana była w jakieś stroje „pachnące” czasami wikingów, część miała na sobie mundury z czasów pruskich, a jeszcze inna część przypominała bojowników *guerilla*. Król wszedł na scenę w wielkim futrze, które bardzo szybko z niego zdjęto, i pozostał już na resztę przedstawienia w nowoczesnym, ciemnym garniturze – jako jedyny wśród całej tej kostiumowej mieszanki. Nie lepiej było z kobietami – Lohengrin, w swej koszuli nocnej miał się kojarzyć ze średniowieczem, towarzyszyła mu w tym Elsa (która miała też swego sobowtóra pętającego się w przestrzeni „pod piórami”). Ortruda miała na sobie płaszcz typu „Gestapo”, kobiety-dziewczęta raz były „na średniowiecznie”, raz uniformowane jako quasi-zakonnice, quasi-uczennice szkoły internatowej. W sumie głowienie się nad znaczeniem różnorodnych kostiumów było dla widza zupełnie niepotrzebnym zajęciem.

Śpiewacy byli w dużej mierze „importowani”: Burhard Fritz jako Lohengrin dysponował silnym, choć niezbyt pięknym głosem, Steven Humes był świetnym królem Henrykiem, Peter Felix Bauer wystąpił w roli herolda. Elzę śpiewała Dunka, Anne Margrethe Dahl, znajdująca się na przedprogu emerytury. Zbyt duże wibrato i brak elastyczności cechował jej wystąpienie, a reżyserka nie ułatwiła jej zadania każąc zachowywać się jak nastolatka, podskakująca wesoło na scenie. Za ciężki Lohengrin i za stara Elsa nie stanowili zbyt ponętnej młodej pary.

Doskonałą parą byli natomiast Ortrud i Friedrich von Telramund, nosiciele zła w tej operze. Kiedy śpiewali (oboje byli z Finlandii: Jukka Rasilainen jako Friedrich i Tuija Knihtilä jako Ortrud) można było zapomnieć



Scena ślubu – Elsa (Anne Margrethe Dahl) i Lohengrin (Burhard Fritz), oboje widziani od tyłu, oraz sobowtór Elzy

Foto: Mats Bäcker

o wszelkich niedomaganiach inscenizacyjnych – i po prostu rozkoszować się wielkim kunsztem wokalnym.

Doskonale śpiewał bardzo liczny chór (46 mężczyzn i 26 kobiet), doskonale grała orkiestra, przy czym uraczono nas fanfarami trąbek zarówno przed przedstawieniem (z balkonów foyer), w czasie pauz, jak i grających z 4 miejsc na widowni w kulminacyjnej scenie opowieści o Graalu.

Dlaczego na zakończenie wszyscy wszystkich pomordowali na scenie pozostanie tajemnicą reżyserki. Dlaczego

wystawia się wielkie dzieło Wagnera, gdy wśród stałego sztabu śpiewaków brakuje wszystkich głosów solowych do tego przedstawienia – pozostanie tajemnicą dyrekcji teatru.

Koszty produkcji były bardzo wysokie (honoraria dla solistów występujących gościnnie, wzbogacony chór i rozszerzona orkiestra), co być może tłumaczy fakt, że operę grano zaledwie sześć razy.

Eva Maria Jensen



Wszystko na opak – Premiera *Salome* Straussa w Kopenhadze

Salome Straussa to jedna z najbardziej dramatycznych oper. Wierna czasowi, w jakim powstała, zbudowana na opowieści biblijnej, prezentuje się jako wstrząsająca, dekadencja, amoralna wręcz historia o sile pożądania. Wszystkie osoby dramatu są ofiarami własnego fanatyzmu i nieokiełznanej pasji: Herod – pożądający małoletniej pasierbicy, Herodias – pożądająca bogactwa i władzy, Salome – żądna męskiego pożądania. Odrzucona przez proroka, Jana Chrzciciela, znajduje ujęcie swej pasji w zbrodni i nekrofilii. Ale i sam prorok, Jan Chrzciciel, nie jest też wolny od fanatyzmu. W jego przypadku jest to fanatyzm religijny, absolutny i jednowymiarowy. Tak więc samo libretto opery, opartej na sztuce teatralnej Oscara Wilde’a, to już materiał wybuchowy i nie można się było dziwić atmosferze skandalu, jaki towarzyszył prapremierze opery w roku 1905. Do tego dodać należy toksyczną muzykę Straussa, który w *Salome* przekracza swą późnoromantyczną granicę, to wydaje się, że niewiele potrzeba, by wystawić *Salome* przyzwoicie – nawet w wersji koncertowej, działanie tekstu i muzyki jest bowiem szalenie silne.

Niestety, reżyserowi Stefanowi Herheimowi oryginalny tekst i muzyka nie wystarcza. W zrealizowanym dla Salzburga, a powtórzonym najpierw w Oslo, a teraz w Kopenhadze przedstawieniu, pozwala on sobie na tak osobistą interpretację dramatu, że nie tylko odbiega od oryginału, ale przekręca wszystko tak opacznie, że widz zupełnie nie wie, o co chodzi. A im lepiej zna się Strausowski oryginał, tym trudniejszy do zaakceptowania jest gwałt jemu zadany.

Dla Herhaima kluczem symbolizmu opery jest księżyc i zmysł wzroku. Księżyc reprezentuje świat uniwersalny, zmysł wzroku świat indywidualny, subiektywny i mylny. Scena przedstawia zamknięty wysokim murem obszar zdominowany przez wielki teleskop, który okazuje się też być armatą. Nad murem widzimy gwiazdzone niebo. Teleskop łączy akcję rozgrywającą się „na murze” z akcją rozgrywającą się „na ziemi” – śpiewak za śpiewakiem muszą

wielokrotnie schodzić po teleskopie w dół (pomagają im w tym wysuwające się wątle poręcze oraz statyści asekurowujący bohaterów w tych dość karkołomnych zejściach). „Na dnie”, gdzie jest jeszcze „drugie dno”, bo tam, w głębi siedzi uwięziony Jan Chrzciciel, podłoga też jest pełna przeszkód – kładek, kamieni i różnych niezidentyfikowanych konstrukcji, o które wielokrotnie potykał się na premierze Johny van Hal, odtwarzający rolę Heroda.

Herheim zaludnia miejsce akcji sporą ilością statystów poprzebieranych w różne stroje: a to kardynał, a to mnich, a to Stalin, a to oficer SS, a to ortodoksyjni Żydzi, a to wojskowi różnej maści. Pęta się to po scenie bez ładu i składu, podczas dłuższych partii wokalnych „osoby” wpadają w trans erotyczny, który udziela się bohaterom. Chwilami panuje na scenie zbiorowa onania, nie omijająca nawet Jan Chrzciciela. Salome – modelowana na Marylin Monroe – zachowuje się przedziwnie. Już na początku opery tnie sobie udo i krew (zwykle zarezerwowana na koniec przedstawienia) leje się gęsto, paprzą się w niej dosłownie wszyscy bohaterowie. W scenie tańca Salome „klonuje się” i jest ich nagle wiele, każda w inne-



Foto: Erik Berg

go koloru sukni. Na końcu opery „wyjeżdża” z podziemi ogromnych rozmiarów głowa proroka. Salome śpiewa swą końcową arię zwrócona tyłem do tej głowy, kierując się ku Herodowi i Herodias na proscenium. W końcu jednak reżyser decyduje się na użycie rekwizytu – Salome włazi prorokowi do ust, znika w jego krtani, by potem wypełznąć stamtąd, stanąć na wargach, podczas gdy głowa podjeżdża jeszcze wyżej.

Herod rzuca swe: „zabijcie tą kobietę”, Herodias udaje się jednak w międzyczasie wdrapać na teleskop-armatę i wystrzelić w Heroda. Kurtyna opada, a widzowie dosłownie opadają ręce. Mogłabym wymienić więcej jeszcze dziwactw tego przedstawienia, zwrócić się jednak do strony wokalne spektaklu. Wszystkie główne role były podwójnie obsadzone. Na premierze Salome śpiewała Ann Petersen, odtwórczyni ról wagnerowskich na wielu scenach, o bardzo silnym, choć nie zawsze ładnie brzmiącym głosie, Herodias interpretowała wybitna tutejsza śpiewaczka Susanne Resmark, Herodem był zawsze pięknie śpiewający i zawsze sztywny na scenie, jakby połknął kij, Johny van Hal, natomiast Janem Chrzcicielem (w operze zwanym Jochanaanem) był John Lundgren. Wokalnie nienaganna obsada, dająca sobie radę ze 120-osobową orkiestrą. Można by sobie życzyć, by wszyscy oni wykończyli operę w wersji koncertowej.

Niestety, Norweg Stefan Herheim, już kilka przedstawień temu (w Kopenhadze reżyserował *Lulu* Berga i *Nieszpory sycylijskie* Verdiego) uznany został za wręcz genialnego. Tak więc i tym razem duńscy krytycy nie szczędzili superlatyw omawiając jego wersję *Salome*. Ale – jak wiadomo – *de gustibus non est disputandum*.

Eva Maria Jensen



Foto: Erik Berg



Wiersz o Wojtku, słynnym niedźwiedziu II Korpusu

Miś Wojtek

*Historia tego misia nie rozpoczęła się dzisiaj,
Dawno temu w Iranie miał miejsce przypadek taki,
że jakieś chłopaki znalazły naszego misia samego bez opieki.
Stało się tak w końcu, że miś wylądował w wojsku.
A wojsko potraktowało go swojsko.
Za zasługi misia generał Anders dał mu pysia
i stopień kaprala, taki z niego mądrala.
Wojenna historia Wojtka doprowadza nas do Szkocji,
gdzie w tamtejszym zoo umiera w samotności.
Historia ta wesola i smutna po trochu
bo walcząc za wolność wylądował w lochu.*

Napisała

Basia Budzyńska, 9 lat,
Luboń, Polska



Digt om bjørnen Wojtek, en berømt maskot af general Anders' s armè

Bjørnen Wojtek

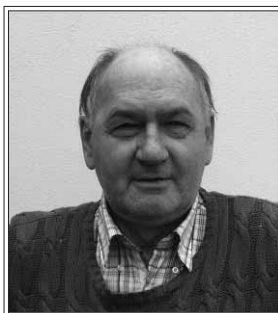
*Historien, som her I får, er ikke fra i går.
I Iran under krigen drenge fandt en bjørneunge,
som savnede nu moderbrystet til sin lille tunge.
Den havnede dog snart som menig i den polske hær,
optaget dér som kammerat og alle ganske nær.
Og dygtigt tjente bamsen. Med et kys på bjørnevamsen
ham flot vor general forfremmede til korporal.
Men helt til Skotland hen blev Wojtek ført ad krigens veje
og døde i en zoo så ensom på sit kolde leje.
Historien om Wojtek, den er fuld af sjov og skæg,
men trist, at frihedskampen endte bag en fangevæg.*

Skrevet af

Basia Budzyńska, 9 år,
Luboń, Polen
Oversat af
Bent Christensen 2015

Nad brzegiem Morza Północnego

Ten wiersz nigdy nie powstał
 Chociaż były w nim słowa i szept
 Wokół nas mrok i chłód a dalej urwisko
 I szkwiał wyrrywający
 Z naszych wspomnień... chyba wszystko
 I widziałem jej jasną twarz z bliska
 Buchnął ogień i stara kobieta
 Zaczęła tańczyć wokół ogniska
 I patrzyłem na płomienie
 Wdzierające się w mrok jak pochodnia
 I na tę starą kobietę
 Jak tańczyła samotnie wokół ognia
 Powinnaś powiedzieć jej ten inny wiersz
 O tym kamiennym brzegu
 Gdzie wysiedliśmy wtedy z łodzi
 I o tym że później byliśmy inni
 Tacy radośni jakby jeszcze raz młodzi
 I zaśpiewać tę naszą piosenkę
 Jak turlały się po ulicy monety
 I raz była reszka a raz orzełek
 I jak z domku z kart
 Wyszedł na palcach karzełek
 A później zanucił tę starą pieśń
 O białych literach
 Stojących w szeregu
 I o łodzi z dziurawym dnem
 Która o świcie odbije od brzegu
 I pieśń o zimnym sztormie
 I skalach o które rozbijały się fale
 I o tym dalekim wietrze
 Co nie miał początku
 A jednak ciągle nadbiegał w cwale
 Ze mną był wiatr i noc
 A rankiem wyszła z mroku postać
 Stała i patrzyła
 Że ognisko wygasło
 A kobieta nadal samotnie tańczyła
 One były dwie i...
 I jakby nic się nie zdarzyło
 Może mocniej wyl w szkwale
 Rwący to wszystko co przed chwilą było
 Minęła Noc Walpurgii
 Nastal świt i wschodziły
 Nad wodą pierwsze jasne zorze
 Stara kobieta przestała tańczyć
 I obie odeszły tam
 gdzie szumiało morze
 I był skalisty brzeg
 I łodzie którym ktoś
 pozabierał stery
 Chciałem powiedzieć
 im ten nasz wiersz
 Lecz fale zabierały mi
 słowa
 I w otchłani ginęły litery

**Jerzy Marciniak** Jerzy Marciniak**Pożegnanie Sępa**

Turlają się z wiatrem słowa
 I zbędne piękne myśli
 Trochę dalej czaszka i wypalone
 Słońcem białe kości
 Bezkrzesny obszar pustyni
 Sęp nie widzi nowych ciał i się złości
 Myśli jak ziarenka piasku
 Przesypują się pomiędzy
 Moimi rozwartymi palcami
 Od rana przez noc i do białego brzasku
 Małe zdania
 Klepsydra przesypujących się myśli
 Każdy początek ma teraz dwa końce
 Kupuję garść pustych mądrości
 Z wypalonym przez słońce
 Zmysleniem
 Sęp nie widzi nowych ciał i się złości
 Nie ma ofiar i nie ma słów
 W powietrzu fruwią głodne ważki
 Drogą idzie tłum ludzi bez głów
 Los rzuca na piach nagie czaszki
 Niektóre z nich nucą prozę
 Inne śpiewają haiku albo fraszki
 Ktoś głośno płacze
 Inni milczą albo klną
 Lub śpiewają i milczą znów
 I patrzą jak nadchodzi
 Następny tłum niepotrzebnych ludzi
 W większości bez głów
 Idą postacie bez ciał i bez kości
 Czarny sęp jest głodny
 I patrzy z góry w złości
 Nadchodzi kolejny tłum...

Piotr Marciniak

Tłumaczenie z języka szwedzkiego:

Jerzy Marciniak

Piotr Marciniak ur. 1982 r. w Polsce. Ukończył Uniwersytet w Lund i elitarny Dramatiska Institutet (Szkoła Filmowa) w Sztokholmie. Telewizja Szwedzka emitowała jego autorski film „Betongbarnet” oraz według jego scenariusza „Bekas” i serial „Inkognito”, który pobił rekord oglądalności. W filmie „De fyra sista” występował jako aktor. Aktualnie w wielu krajach świata grany jest film „JönssonLigan” według jego scenariusza. Jest laureatem miesięcznika FRIHET w dziedzinie prozy.

**Piotr Marciniak**

*Szarganie poprawności***DOBRA ZMIANA NAD TAMIZĄ?**

Dawno nie oglądaliśmy w Europie kociokwiku podobnego temu, jaki nastąpił po ogłoszeniu zaskakujących wyników brytyjskiego referendum. Może także dlatego, że w konfuzji pograżyli się tak przegrani, jak i zwycięzcy. W poszukiwaniu przyczyn tego wydarzenia prasa brukowa, zwana przez uprzejmość tabloidami, i angielscy politycy, tracąc głowy, nie mogli się nie odwołać do angielskiego (jakże by inaczej) pojęcia „chłopca do bicia”. Wszak niepowodzenia muszą być czyjąś winą, czyjąkolwiek, byle nie naszą! Nie wiemy czy nad Tamizą wzorowano się na starzej, poczciwej Danii, ale tu wygodna formułka od kilku lat była pod ręką. Wszak to nad Sundem już jakiś czas temu znaleziono sprawców zgrzytów na rynku pracy i tłoku przy okienkach płacących osławione, socjalne zasiłki. I oczywiście winna była tania, polska siła robocza, a nie kosztowna, „podzwrotnikowa” siła nabywca. Przypomnijmy w tym miejscu szeptane wówczas po kątach wyjaśnienia, że nieśmiały prób wprowadzenia jakiejś formy kontroli granicznej poprawność polityczna nie pozwalała usprawiedliwiać napływem gości egzotycznej proveniencji, więc coraz liczniejsi Polacy byli idealnymi „chłopcami” tyleż do bicia, co do kopania nowej linii Metra.

Oczywiście w Brytanii problem jest poważniejszy, bo... „imię jego milion!”, więc i rozgłos przybrał odpowiednio znaczniejsze rozmiary. I szybko okazało się, że osławione plagi angielskiego „socjału” to nie podzwrotnikowi „akrobaci z Calais” zrećnie wskakujący na ciężarówki i wagony zmierzające do tunelu pod Kanałem. Nie! Oni zapewne mówią jakimś angielskim i piją herbatę z mlekiem, więc są bardziej „swoi”. Natomiast legalnie przybywający *czarnoroboczy* Polacy to plaga i to zarówno w oczach zwolenników, jak przeciwników niefortunnego pomysłu premiera Camerona. Zresztą już wcześniej nie brakowało na Wyspach narwańców, którym się w głowach to i owo na temat kłopotliwych Polaków pogmatwało. Jak np. owej hurra-postępowej żurnalistce, która pomieszała *the Poles* z Sikhami

i głosiła, że to właśnie *gastarbeiterzy* z nad Wisły noszą za pazuchą rytualne sztylety.

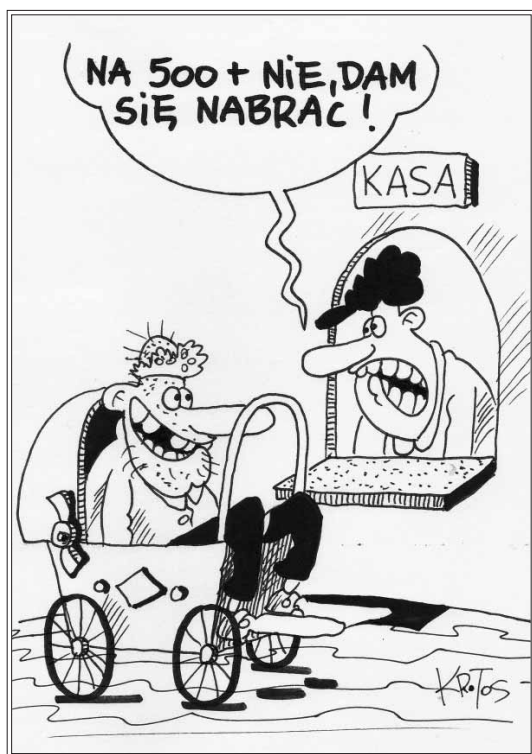
Ale przecież Anglia to kraj tradycji, więc także na niwie historycznych stosunków z Polską budujących wzorów nie brakuje. I to wzorów z najwyższej półki! Wspomnijmy tylko kilku premierów i ministrów Jego Królewskiej Mości, tych najślynniejszych. Mr. Lloyd George, który na konferencji pokojowej w 1919 r., z zaciętością godną lepszej sprawy, sprzeciwiał się przyznaniu Polsce Galicji, która mu się pomieszała z biblijną Cilicją. W tym samym czasie jego rządowy kolega Lord Curzon kreślił był swą słynną „Linie” znaną następnie jako Linia Ribbentrop-Mołotow. O premierze N. Chamberlainie i jego „zasługach” dla krajów, o których... *We know nothing*, wspominać nie warto, ale nadzwyczaj pouczające może być przypomnienie usilnych starań W. Churchilla, który z uporem starał się odwieść Stalina od ustalenia nowej granicy Polski na Nysie Łużyckiej. Ba, nawet jeszcze po latach, pisząc swe wojenne pamiętniki, upierał się, że Nysa Kłodzka powinna być Polakom wystarczyć, choć i tę kwestionował, uważając, że nawet po utracie ziem wschodnich... *polska gęś polknęła tyle, że gotowa się udławić*.

Co przypomniawszy, zaklnijmy się, że ani nam w głowie demonstrowanie jakiegokolwiek niechęci do sympatycznych wyspiarzy, oryginałów i dziwaków, a nade wszystko, twórców angielskiego humoru. I gdyby np. do stopnia sympatii wobec tej nacji zastosować jakąś miarkę, proponujemy zamiast bezdusznych liczebników, skalę bardziej ludzką, np. od Lorda Curzona do Monty Pythona!

A wracając do perypetii związanych z osławionym *Brexitem*, trudno się oprzeć wrażeniu, że także one co nie co ów „Latający Cyrk Monty Pythona” przypominają. I paradoksalnie właśnie dzięki temu podobieństwu możemy, mimo istic cyrkowych łamańców na politycznej scenie, dopatrywać się przysłowiowego „światełka w tunelu”. Wszak także absurdalne przedstawienia dobiegają końca, gasną reflektory i arena pustoszeje, a w zacinnych gabinetach „treserzy i kasjerzy” łamią sobie głowy, jak sprzątać, sklejać i szkody naprawiać. Miejmy zatem nadzieję, że także sprowokowane nieopatrznie brytyjskie dąsy i fochy utoną w globalnym zamęcie „dobrej zmiany”. Może pozwolą o nich zapomnieć dziwaczność amerykańskich wyborów, tańce wojowników z pustynnych kalifatów, maszerujące na północ tłumy „podzwrotnikowych” gości lub wrażenie wywołane atrakcyjnymi kazaniem w kopenhaskich meczetach, czy wybuchające od czasu do czasu „pasy samobójców” oraz atmosfera zaostrzonej kontroli. I być może, po tygodniach lub miesiącach narad, podchodów i manewrów finansistów i eurokraci wysmażą jakiś, lepszy lub gorszy, kompromis lub „kompromis”, atrakcyjnie go opakują i skutecznie „ciemny lud” przekonają, że nie ma przegranych ani wygranych, i koniec końców jakaś mniej lub bardziej udana, kolejna wersja Cyrku Monty Pythona będzie mogła z „Wyspy do Europy” powrócić.

Adam be





Przepadł z Krotosem

(rysunki współpracującego
z „Informatorem Polskim”
rysownika z Gliwic
p. Tadeusza Krotosa)



Sernik z mango na spodzie z karmelizowanymi migdałami

**Spód:**

3/4 szklanki migdałów blanszowanych (to są całe migdały, bez skórki),
2 łyżki cukru trzcinowego.

Masa:

1/2 kg sera trzykrotnie mielonego,
3/4 szklanki drobnego cukru,
2 łyżki budyniu śmietankowego (bez cukru),
4 małe jajka (lub 3 duże),
1 łyżeczka esencji waniliowej,
3/4 szklanki pulpy z mango (może być gotowa albo należy zmiksować 1 duże, dojrzałe mango).

Migdały delikatnie podprażyć na suchej patelni. Przełożyć je do miski, na patelni umieścić cukier, który należy rozpuścić. Dodać migdały, obtoczyć je w karmelu i przełożyć do blendera (lub miski, w której będziemy miksować) i drobno zmiksować (nie na proszek, ale tak, żeby były kawałki migdałów).

Tortownicę 18 cm (lub nieco większą, wtedy sernik będzie niższy), wyłożyć papierem do pieczenia, wsypać na dno migdały i zrobić masę:

Ser wymieszać z musem mango, cukrem, budyniem i wanilią (w misce, łyżką), następnie dodawać po jednym jajku i miksować – miksujemy TYLKO do połączenia wszystkich składników, nie dłużej.

Przełać delikatnie na spód. Wstawić do piekarnika nagrzanego do 160°C i piec ok. 50–60 minut (czas pieczenia zależy od tego, jak szybko sernik się zetnie – powinien mieć delikatnie płynną konsystencję w środku i dobrze upieczone brzegi).

Wyłączyć piekarnik, uchylić drzwiczki i zostawić sernik do ostygnięcia.

Można na powierzchni sernika, przed wstawieniem go do piekarnika, zrobić „esy floreesy” z musu mango: dookoła stawiamy kropki, które rozprowadza się przy pomocy wykałaczki.

UŚ



Leżajsk

Piękno średniowiecznego miasta

W czternastym stuleciu Leżajsk należał do dóbr królewskich. 28 grudnia 1397 roku otrzymał on prawa miejskie z rąk Władysława Jagiełły. Według dokumentu „Codex diplomaticus Poloniae” król Władysław Jagiełło ufundował w 1409 roku w Leżajsku parafię z pięknym kościołem, co było powodem organizowania tu licznych wypraw i pielgrzymek.

W 1354 roku biskup Maciej Janina sprowadził do Leżajska kanoników regularnych świętego Grobu. W 1424 roku Leżajsk stał się siedzibą starostwa założonego przez Spytka z Tarnowa i Jarosława herbu Leliwa, starostę generalnego ruskiego. Początkowy okres w dziejach miasta był związany z rodem Jarosławskich pieczętującym się herbem Leliwa. Ród ten

otrzymał królewszczyznę leżajską w 100-letnią dzierżawę.

Piętnaste stulecie

Począwszy od końca XV wieku rozwój Leżajska był hamowany przez wyniszczające najazdy Tatarów i Wołochów. W związku z tymi napadami dwór króla Zygmunta Starego znacznie wspomógł gospodarczo miasto, nadając mu kolejne przywileje i zwalniając okresowo od niektórych ciężarów płatniczych. Po tragicznych wydarzeniach król Zygmunt Stary, na bazie dokumentu wydanego przez siebie na Litwie, przeniósł Leżajsk na bardziej obronne miejsce, oddalone od poprzedniego o 5 km w kierunku południowo-zachodnim, nadając mu jednocześnie nową nazwę: Leżajsk Zygmuntownski. Była to ponowna lokacja miasta na prawie magdeburskim, która wraz z dogodnym położeniem na szlaku krzyżujących się dróg handlowych, dała podstawę do ponownego rozwoju rzemiosła i handlu.

Dla rozwoju Leżajska

Rzeczywisty rozwój miasta był sukcesywnie wspierany przez starostę leżajskiego Krzysztofa Szydłowieckiego, pieczętującego się herbem Odrowąż. W 1534 roku Królowa Bona za zezwoleniem Sejmu wykupiła wójtostwo Leżajska, fundując w nim nowoczesne budynki miejskie. W 1610 roku wybudowany został pierwszy murowany kościół. Obecną świątynię wzniesiono w latach 1618–1628 z fundacji marszałka wielkiego koronnego Łukasza Opalińskiego z Bnina i jego żony Anny z Pileckich. W roku 1624 miasto zostało złupione i spalone przez wojska Kantymira Murzy. Tatarzy w bestialski sposób wytopili starców i dzieci w pobliskich bagnach. Najazdy Szwedów w latach 1655–1656, przemarsze i grabieże obcych wojsk zrujnowały gospodarkę miejską. W 1656 roku w Leżajsku na kilkudniowy pobyt zatrzymał się Karol Gustaw, twierdząc, że jest w tym mieście coś, co go zachwyca.





Czasy rozbiorów

W wyniku pierwszego rozbioru Polski w 1772 roku Leżajsk przeszedł pod panowanie austriackie, a ostatni starosta leżajski Józef Potocki, uzyskawszy zgodę władz zaborczych, przeniósł siedzibę starostwa do Łańcuta. W 1809 roku wojska Księstwa Warszawskiego dowodzone przez księcia Józefa Poniatowskiego na krótko wkroczyły do miasta, które później

zajęli ponownie Austriacy. Od pierwszego rozbioru Polski w Leżajsku działał cadyk Elimelech, organizując tu pielgrzymki Żydów. W czasie Wiosny Ludów powstaje Wolne Królewskie Miasto Leżajsk. Ważne znaczenie dla Leżajska miało wybudowanie w latach 1896–1900 linii kolejowej łączącej Leżajsk z Przeworskiem i Stalową Wolą Południe.

Tuż przed uzyskaniem niepodległości

Przed I wojną światową prowadzono tutaj regulację rzeki San. Pracami koło Leżajska kierował późniejszy generał Władysław Sikorski. Tymczasowo zamieszkał on w Leżajsku przy ul. Klasztornej. W dniu 15 lipca 1910 roku wygłosił on przemówienie na patriotycznym wiecu z okazji rocznicy bitwy pod Grunwaldem. Rocznicę tej bitwy uczczono ponadto budową szkoły męskiej, oddanej do użytku w roku 1911.

Do chwili obecnej Leżajsk swoim niezwykłym urokiem zachwyca każdego turystę i konesera wydarzeń historycznych.

Ewa Michałowska-Walkiewicz



GÓRA KRZYŻY

Kryžiu kalnas to wzgórze znajdujące się 12 km od miejscowości Szawle, między wioskami Domantai a Jurgaičiai, nad rzeką Kulpą. Nazywane jest Górą Krzyży, Zamkową, Modłów lub Świętą. Pagórek ma wysokość ok. 10 metrów. W tym miejscu w 1430 r. postawiono kapliczkę upamiętniającą przyjęcie przez Zmudzinów chrztu. Niezwykłość tego miejsca polega na tym, że całą jego powierzchnię zajmują tysiące krzyży postawionych przez pielgrzymów, nie tylko z Litwy, ale z całego świata.

Góra Krzyży jest miejscem bólu, pamięci, nadziei i modlitwy. Ma wymiar religijny i jest dla Litwinów narodowym sanktuarium. Niektórzy uważają, że w przeszłości było to miejsce, gdzie kapłani rozpalali święty ogień, a ludzie składali ofiary pogańskim bogom. Obecnie Góra Krzyży została oddana pod opiekę franciszkanom. Stanął tam ich klasztor.

Już od dawna Litwini, tak jak i inni katolicy, mieli zwyczaj stawiania drewnianych krzyży i kapliczek na

rozstajach dróg, przy swoich domostwach, a także w miejscach, które należało poświęcić.

Po powstaniach 1831, 1863 r. w pamięci zbiorowej utrwaliło się, że właśnie w tym miejscu chowano potajemnie poległych powstańców, którym stawiano krzyże. Później stawiano krzyże wszystkim, którzy zginęli w niewiadomych okolicznościach. Były one bolesną pamiątką po tych, którzy padli w walce, albo zginęli w dalekich syberyjskich tajgach. W pamięci najstarszych mieszkańców zachowują się wspomnienia, przekazywane z pokolenia na pokolenie, że na górze dokonywano egzekucji na powstańcach. Prawdopodobnie mogły czterech z nich znajdować się na lewo od wejścia. I to było jedyne miejsce pochówku. Góra nie jest i nigdy nie była cmentarzem. Krzyże na górze pod Szawlami zostawia się jako prośbę, przypomnienie, podziękowanie, wspomnienie kogoś.

Kiedy dokładnie zaczęto stawiać krzyże wotywnie w tym miejscu, trudno powiedzieć. Pierwsza pisem-

na informacja na ten temat pochodzi z 1850 r. Wiadomo, że w tym czasie proces stawiania nowych, katolickich krzyży odbywał się już na znaczną skalę. W związku z tym rosyjskie władze, które już od końca XVIII wieku sprawowały rządy nad wschodnimi ziemiami I Rzeczypospolitej, wydały zakaz stawiania w tym miejscu nowych krzyży. Wiązało się to z procesem rusyfikacji, którego elementem była także walka z Kościołem katolickim.

Można przypuszczać z dużą dozą prawdopodobieństwa, że tradycja stawiania krzyży wiąże się z czasem zaraz po powstaniu 1831 r., kiedy to władze rosyjskie zabroniły stawiania krzyży na grobach poległych i straconych powstańców.

Wówczas to ich bliscy postanowili zamiast na grobach stawiać symboliczne krzyże ku ich czci właśnie na wzniesieniu pod Jurgajciami, które z czasem zaczęto nazywać Górą Krzyży. Masowo przynoszono i stawiano kolejne krzyże i od tego czasu przybywa ich stale.

Podobna sytuacja powtórzyła się po powstaniu styczniowym. Krzyży stale przybywało, bowiem z czasem ludzie zaczęli w ten sposób upamiętniać także swoich bliskich zesłanych na Sybir.

Sława góry zaniepokoiła gubernatora wileńskiego Murawiewa – słynnego „Wieszatiela”, który nakazał usunięcie krzyży. Na miejscu usuniętych pojawiały się jednak ciągle nowe. Na początku XX stulecia na górze stało już ponad sto krzyży. Miejscowi mieszkańcy uważali górę za świętą. Po wejściu Rosjan na ten teren rozpoczęło się niszczenie krzyży. Początkowo tzw. nieznani sprawcy kradli nowe krzyże. Jednak w miejsce jednego usuniętego pojawiało się kilka nowych. Kiedy władze stwierdziły, że takie działanie jest mało skuteczne, a nawet przynosi odwrotny skutek, przystąpiono do działań bardziej radykalnych.

Po raz pierwszy próbę zniszczenia Góry Krzyży po uprzednim starannym przygotowaniu (w różnych gazetach ukazały się „odpowiednie” ateistyczne artykuły – czyli wypowiedzi „ludzi pracy”) podjęto w nocy 4 kwietnia 1961 r. Użyto pił, siekier i buldożerów. Żołnierze z jednostek, w których służyli poborowi ze wschodu „wielkiej ojczyzny”, przeważnie mąhometanie, w ciągu nocy zniszczyli 5 tys. krzyży. Żelazne wieziono do Szawli na złom, kamienne rozbijano na miejscu, a drewniane piłowano i palono w ogromnych ogniskach. Zasypano wówczas źródło, które znajdowało się na tej górze. Wszystkie drogi wiodące do tego miejsca były obstawione przez milicję, która nikogo nie dopuszczała w tę okolicę.

Krzyże na górze jednak znowu zaczęły się pojawiać. Stawiali je ludzie po kryjomu, w nocy. Kolejne próby niszczenia krzyży były podejmowane w latach 1973, 1974, 1975. Na górze znajdowało się wtedy ok. 5 tys.

krzyży, które przy udziale NKWD i milicji palono i niszczone za pomocą spychaczy. W tym czasie przez kilka lat trwała prawdziwa „wojna o krzyże”: w dzień wzgórze pilnowała milicja, w nocy ludzie ponownie ustawiali krzyże, rano niszczyli je milicjanci.

Nic jednak nie potrafiło złamać wiary i uporu ludzi. Za każdym razem pojawiały się nowe krzyże i liczba ich ciągle rosła. Wówczas to w czyjeś głowie zaświtała szalona myśl – górę należy zatopić. Powstał więc projekt zniszczenia góry przez spiętrzenie wód rzeczki Kulpy i urządzenie tam kolektora ścieków z Szawli. Rozpoczęto nawet budowę tamy. Na szczęście nie zdążono zrealizować tego iście szatańskiego zamiaru.

Dziś wszystkie krzyże, które obecnie znajdują się na górze, zostały ustawione czy zawieszono po 1975 r. Jest ich obecnie dziesiątki tysięcy. Pochodzą ze wszystkich kontynentów świata. Szczególne znaczenie ma krzyż od Ojca Świętego Jana Pawła II, który przybył na Górę Krzyży 7 września 1993 r. I z tego miejsca pobłogosławił Litwę i całą Europę.

Będąc na Litwie, udajcie się tam koniecznie i w dowód pamięci dla tych, którzy w powstaniach 1831, 1863 r. i czarnym okresie prześladowań przez okupantów sowieckich oddali swe życie, byśmy mogli dziś cieszyć się wolnością, zawieście swoje krzyżyki i odmówcie w ich intencji modlitwę.



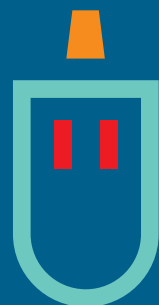
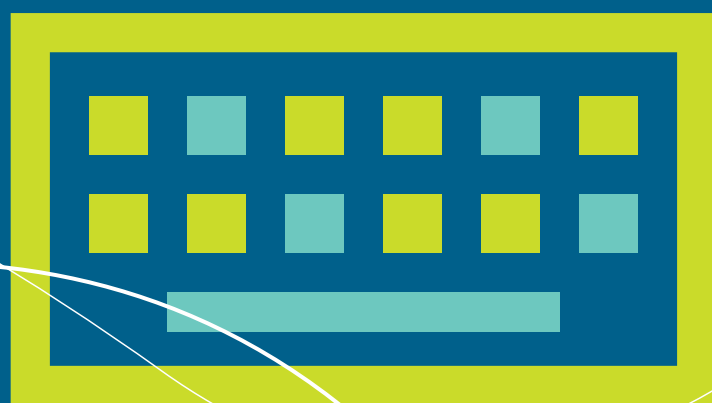


Góra Krzyży



Bądź z nami w 3F

Będąc członkiem duńskiego związku zawodowego 3F nie zostaniesz oszukany.



Jeżeli otrzymujesz zaniżoną płacę lub
pracodawca źle Cię traktuje,
3F może Ci pomóc.

Wejdź na www.3f.dk/polski i dowiedz się, jak zostać członkiem i
co 3F może dla Ciebie zrobić.

Tutaj możesz także przeczytać ciekawe wiadomości przygotowane
przez największy związek zawodowy w Danii.